

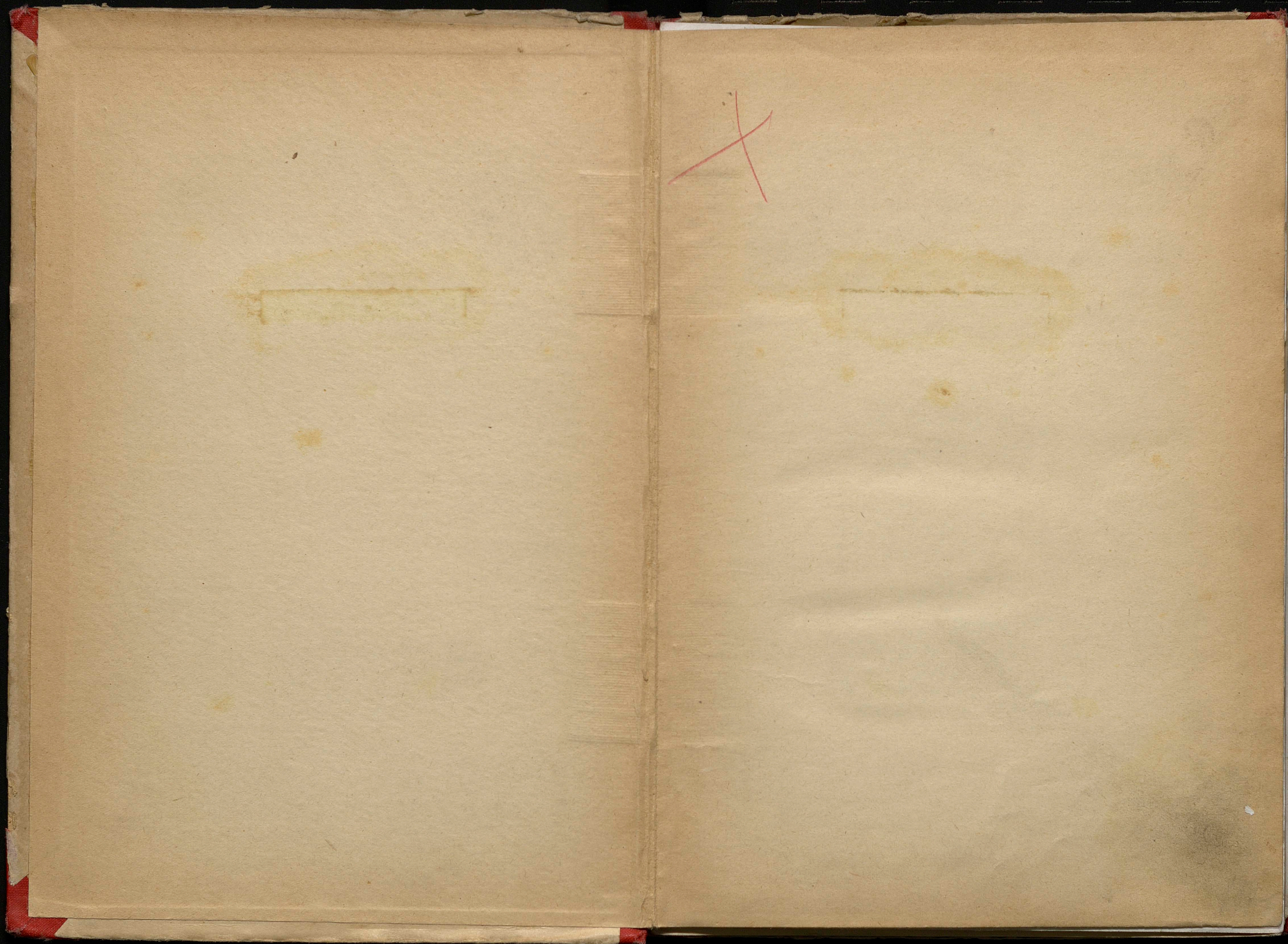
# WYZWOLENIE

Autobiografja Murzyna Bookera T. Washingtona



WARSZAWA  
Nakładem Księgarni Naukowej.  
1905.





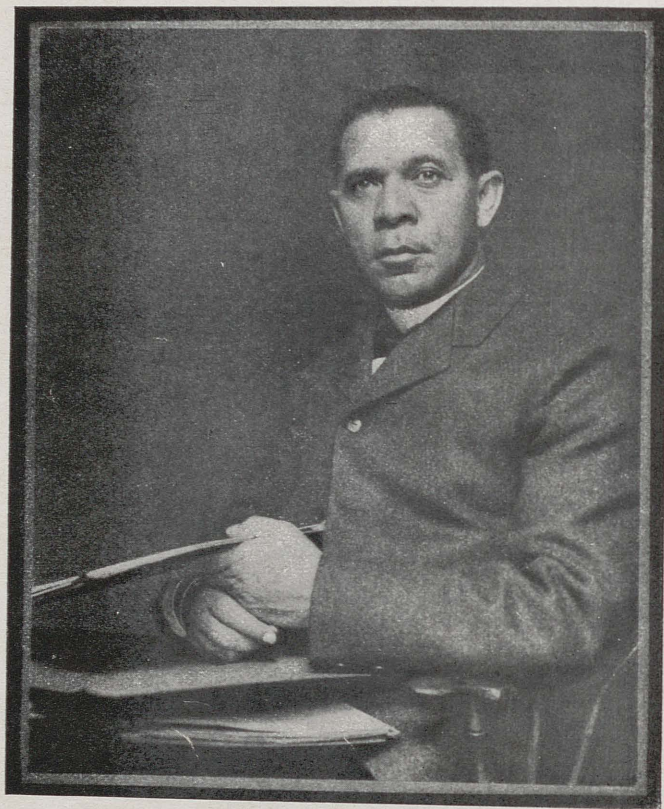


WYZWOLENIE



WASSWOLFEN





*Booker T. Washington*

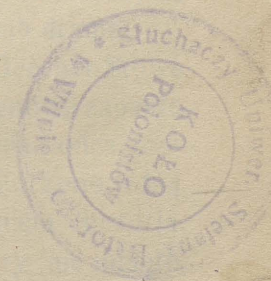
# WYZWOLENIE AUTOBIOGRAFJA MURZYNA

BOOKERA T. WASHINGTONA

PRZEKŁAD E. L.

Słowo wstępne

IZY MOSZCZEŃSKIEJ.

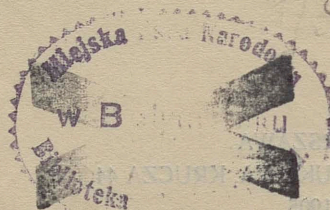


WARSZAWA  
KSIĘGARNIA NAUKOWA, KRUCZA 44.  
1905.





Дозволено Цензурою.  
Варшава, 16 Ноября 1904 года



1039  
Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka Nr. 8.  
R. 11. 7. 26. 5. 45.

## Słowo wstępne.

Książka tak prosta, jak opowiadanie dla dzieci, tak zdrowa i orzeźwiająca, jak szklanka wody krynicznej, tak pouczająca, jak traktat naukowy o rozwoju cywilizacyjnym ludu zjawia się przed czytelnikiem, by myśli jego rozjaśnić i energję życiową podniecić. Jest to urywek rzeczywistego życia, wycinek ze społecznych dziejów, pełen ruchu i prawdy, a bogatszy w efektowne kontrasty, niż najsensacyjniejsza powieść lub dramat.

Kiedyś, przed laty, zacne serce pani Beecher Stowe stworzyło wzruszający obraz niedoli murzynów i zapaliło miliony ludzi szlachetną dążnością położenia końca znoszonej przez nich niewoli i krzywdzie. Stoczono jedną z najpiękniejszych wojen, jakie zapamięta historia, i czarny lud uzyskał wolność. Od tej pory nie minęło jeszcze lat czterdzieści, a ukazuje się nowa książka. Czytelnik znajdzie w niej dalszy obraz życia tego wzgardzonego ludu, który z niewoli dźwignął się do wolności, z ciemnoty do światła, z poniżenia do poczucia swej godności ludzkiej i społecznej wartości. Jeżeli powieść pani Beecher Stowe przyczyniła się do zniesienia krzywd i bezprawia, to pamiętnik Bookera Washingtona obala



przesady i to najdzielniejszą, najskuteczniejszą bronią, gdyż nie rozumowaniem, nie wzruszającym frazesem, lecz faktem. Wiadomo, że względnie łatwiej jest znieść prawo, niż wykorzenić przesadę, którym je uzasadniano. Dziś jeszcze w Stanach Zjednoczonych, w Krainie wolności i równości obywatelskiej, miliony białych żyje w przekonaniu, że murzyn jest z przyrodzenia istotą niższą, czymś w rodzaju półczłowieka, tylko przez koncesję, tylko w imię pokory chrześcijańskiej zaliczanego do bliźnich. Niesłusznie zresztą krzywdzilibyśmy Yankeesów przypuszczeniem, że ogół obywateli Stanów Zjednoczonych przesadę ten podziela, lub że poza granicami tego kraju nie istnieje mnóstwo ludzi przeróżnej narodowości hołdujących na ślepo temu samemu przesądowi lub innym bardzo analogicznym. Pojęcie wrodzonej wyższości pewnych ras, narodów, odłamów ludności polega przeważnie na złudzeniu i często bardzo to, co wrodzonemu charakterowi pewnej grupy ludzkiej przypisujemy, jest właściwie (zbiorem cech, wytworzonym przez jej warunki życia, obecnego lub przeszłego, wynikiem wpływów otoczenia lub historycznego wychowania.

Uważne przeczytanie książki Washingtona dostarcza na to uderzających dowodów. Wieki niewoli, nędzy, poniżenia, ciemnoty odbiły się na charakterze ludności murzynów, zaznaczając w nim pewne rysy poczytywane za znamiona niższości, lecz zacierające się stopniowo już dzisiaj, po upływie tylko kilkudziesięciu lat na wolności. Jedne z nich stanowiły ciekawy dokument do psychologii niewoli, inne powtarzają się prawie bez zmiany w ży-

ciu duchowym klas poniżonych, uciśnionych, ciemnych. Myślący czytelnik spotka w pamiętniku Washingtona mnóstwo takich faktów, które niby światłem błyskawicy rozjaśniają różne ciemne i zawiłe zagadki psychologiczne. Wspomnienia jego pierwszych lat dzieciństwa spędzonego w nędznym szałasie niewolników nasuną niejednemu mglisty obraz jakiejś brudnej kuchni czeladniej, służącej za sypialnię i jadalnię kucharki i jej kilkorga niewiedomego pochodzenia dzieci. Rzadkie uczty, do których matka budzi dziatwę o północy, chcąc swoją trójkę głodomorów uraczyć skradzionym kurczakiem, podziw i zazdrość względem paniczów i panienek, za którymi boso, konopną koszulą odziany chłopak nosi książeczki do szkoły, wierne niewolnicze przywiązanie do państwa, tworzące dziwną kombinację z głuchym buntem przeciw klasie, do której ci państwo należą, pragnienie wolności, ukrywane starannie przed ich okiem, radość z jej odzyskania połączona z lękiem i niepewnością wobec nowych nieznanym warunków i połączonych z nimi obowiązków, jakież to wszystko ciekawe! Nasze stare, wierne sługi z dawnych czasów z rozrzewnieniem wspominane przez tych, co pamiętają epokę pańszczyznianą, z ich ślepym przywiązaniem a tradycyjnym nieposzanowaniem cudzej własności, toż to sjamskie rodzeństwo tych niewolników, których szerokimi a dosadnymi rysami charakteryzuje nasz autor. A rozpowszechnione u murzynów przekonanie, iż jedyną wartość oświaty stanowi zwolnienie człowieka od pracy fizycznej, ich rwanie się do duchownego i nauczycielskiego zawodu przez chęć zdobycia jak najmniejszym kosz-



tem przewagi nad innemi, czyż to nie odbicie znanych nam dobrze i zbliżka stosunków? Wszystko aż do najdrobniejszych rysów, nawet obchody świąteczne u murzynów, ich lekkomyślność, uganianie się za efektem, za pozorami znaleźć możemy i u siebie, nie odbywając dalekiej za ocean wędrowki, u ludu białej barwy, lecz tej samej, co murzyni, niskiej kultury. Różnica chyba na tym polega, różnica wielka, lecz nie przemawiająca na korzyść naszej rasowej wyższości, że murzyni południowych Stanów mają swojego Bookera Washingtona, który z powodzeniem głosił wśród nich ewangelję pracy i porządku, samodzielności i godności. Człowiek, który zaznajomił ich z użyciem chustki do nosa i szczotki do zębów, nauczył kąpać się i mieszkać po ludzku, stworzył w nich wyższe potrzeby i środki do zaspokojenia ich, przyswoił im nie pozory cywilizacji i oświaty, lecz istotną duchową i fizyczną kulturę, dzięki której naród niedawnych niewolników stał się narodem światłych, dzielnych i użytecznych obywateli. Dla osiągnięcia tego celu poświęcił całe życie, całą moc swej niespożytej energii, cały ogrom swego nieporównanego poświęcenia.

I tu znowu zapytać należy narodów o swej wyższości rasowej przekonanych, czy wydały wielu ludzi podobnych do owego zrodzonego w szałasie murzyna; ludzi zdolnych żyć jedną myślą dzień po dniu, godzina po godzinie, i wszystkie swe siły żywotne w tej jednej bezinteresownej myśli skoncentrować.

W pamiętniku Bookera Washingtona równie zajmującą jest postać bohatera, jak i tło, na którym występuje.

Jeżeli zaś, obserwując samo tło, to jest lud murzyński i jego psychologię, nieraz mamy ochotę zawołać, zapominając o egzotycznej treści książki: „jakie to swoje! — to przeciwnie, zwróciwszy oczy na bohatera i autora opowiadania, ze zdumieniem i podziwem wpatrywać się weń musimy i wyznać szczerze, że to jest zupełnie obce, od naszych rodzinnych typów o setki mil odległe.

Dziwny to bowiem człowiek ów Booker Washington, dziwny i wielki, t. j. wielkim uznać go musimy dopiero po namyśle, gdy zestawimy wszystkie fakty, składające się na tkankę jego życia: prostotę jego słów z potęgą jego czynów, skromne środki działania z imponującą wielkością rezultatów. Człowiek to przede wszystkim bardzo prosty, ogromnie trzeźwy i praktyczny, zajęty całkowicie rzeczami codziennymi, prozaiczną robotą i trywialnymi rachunkami. Niema u niego polotu filozoficznej myśli, niema sentymentalnych nastrojów. Żyje nadzwyczaj czynnie, czasu nie traci, ciągnąc zysk z każdej minuty i traktując z równą powagą, równie trzeźwo i na pozór chłodno kwestje tak doniosłe, jak wzajemny stosunek dwóch ras i tak gospodarsko-drobnostkowe, jak dokładne i czyste uprzątnięcie pokoju. Kiedy nam z żywym zainteresowaniem szczegółowo rozpowiada o stopniowych zmianach, jakie przeprowadził w swej szkole pod względem jej umeblowania i urządzenia, o pracach jej uczniów, o udoskonaleniu rzemiosł i wzmagającym się dobrobycie materialnym, zdawać się może, że mamy do czynienia z oszczędnym i przedsiębiorczym farmerem, wykładającym sztukę dorabiania się majątku. Trzeba sobie jednak uprzytomnić, że



ten człowiek całe życie pracował nie dla siebie, że doko-  
nywał nadludzkich wysiłków, znosił trudy i niedostatek,  
chłód, głód i upokorzenia dla nieszczęsnego ludu, który  
ukochał w jego poniżeniu, a chciał dźwignąć na wyższy  
stopień dobrobytu i oświaty, że dla tego ludu zebrał po  
przedpokojach bogaczy, przejeżdżając wzdłuż i wszerz  
Stany Zjednoczone, dni i noce przepędzając w podróży,  
przemawiając, wzruszając, tłumacząc cel swych dążeń  
i zbierając ofiary na dzieło odrodzenia swych braci.

Gdy uwzględnimy to wszystko, gdy jednym rzutem  
oka obejmujemy tę całą niezmordowaną działalność, doj-  
rzymy na dnie tej praktycznej, trzeźwej, amerykańskiej  
duszy niezgłębiony zasób wzniosłego idealizmu, silnej  
wiary, która góry przenosi, potężnej miłości, która  
z milionami cierpi i dla milionów pracuje.

Ta wiara i ta miłość istotnie stwarzają cuda, mierzą  
siłę na zamiary, a siła wzrasta i zamiar urzeczywistnia.  
Gdyby kto wątpił o znaczeniu jednostki ludzkiej dla roz-  
woju społeczeństwa, to autobiografia Bookera Washing-  
tona z wszelkiego sceptyzmu uleczyłby go musiała.  
Ten biedny chłopak, tak pozbawiony środków, że dla  
zdobycia odrobiny wiedzy musiał, pieszo wędrując z mia-  
sta do miasta, po drodze zarabiać na dalszą podróż i no-  
cować pod mostem małego miasteczka, bo nie stać go  
było na komorne, który, kształcąc się w szkole, wpis  
odrabiał posługą domową, a w czasie wakacji pełnił  
obowiązki kelnera, aby długi opłacić i na dalsze studia  
zarobić, bez stosunków, bez protekcji, bez szczęśliwych  
przypadków losu, jedynie tylko dzięki własnej energii,  
stworzył zakład naukowy, stanowiący wzór dla wielu

późniejszych, ognisko kultury, z którego rozchodzą się  
jasne, ożywcze promienie po wszystkich zakątkach,  
w których żyją czarni ludzie.

Ten człowiek doszedł do zasłużonego rozgłosu  
i sławy, do uznania i szacunku wszystkich spółobywa-  
teli i objawów czci ze strony możnych tego świata,  
a wszystko to zdobył tylko jako naddatek do najbar-  
dziej upragnionego nieosobistego dobra—pomyślności  
swoich spółbraci. Stał się sławnym mówcą, przema-  
wiając w ich sprawie, cenionym autorem, pisząc o ich  
dążeniach i potrzebach. Wielkość jego stanowi to, że  
umiał chcieć. W duszy jego młodocianej, dziecięcej  
jeszcze zapłonęła myśl, „która paliła żarem“, a on stał  
się dla niej istotnie „narzędziem, zegarem“,

„Na twarzy ją pokazał, popchnął serca biciem,  
Rozdzwonił wyrazami i dokończył życiem“.

Ze spokojną dumą wspomina dzisiaj nędzę swego  
dzieciństwa, trudy i walki swej młodości, które go budzi-  
ły ze snu i do snu kołysały, i wielki tryumf, jakiego do-  
żył, gdy na wystawie południowych Stanów wobec pre-  
zydenta republiki i przybyłych z całego kraju delegatów  
mógł się powołać na wystawę prac murzynów, jako na  
jawne świadectwo dzielności i żywotności swej rasy.  
„Nie jałowe skargi i protesty, lecz czyny nasze warto-  
ści naszej dowodzić powinny“ — jest jego maksyma.  
„Nawet zwyczajne rzeczy starać się robić nadzwyczaj  
dobrze“—oto, zdaniem jego, właściwa droga wiodąca  
w górę czy to naród, czy też jednostkę. Jeżeli czytelnicy  
nasi z książki Washingtona nie spamiętają nic innego



prócz tych dwóch prawd, to i tak pożytek z niej może być nieoceniony.

Aby jednak czytelnik mógł sobie zdać sprawę z przedmiotowej wartości dzieła, jakiego nasz bohater dokonał, podaję tu krótką notatkę z artykułu w „Revue“, zbijającego pogląd o niższości murzyńskiej rasy \*).

„Murzyni, których stawiają jeszcze niżej od żółtych, zastanawiają badaczy, studujących ich historję bez uprzedzeń, lecz ściśle naukowo, bajeczną szybkością swych postępów. Są one zdumiewające. Pięćdziesiąt lat temu w pasie czarnym na południu Stanów Zjednoczonych nie posiadali jeszcze 100 hektarów ziemi, dziś liczba posiadaczy ziemskich przechodzi 130,000 i przedstawia wartość półtora miljarda, kapitały zaś ogólne murzynów wynoszą przeszło cztery miljardy według obliczeń statystyki. Wszyscy byli analfabetami, dziś połowa najmniej posiada elementarne wykształcenie. Przeszło 30,000 nauczycieli murzynów, 800 lekarzy, około 450 dzienników i czasopism wydawanych przez murzynów i dla nich, liczni powieściopisarze i poeci, a przed niemi wszystkimi człowiek tak wielkiego serca i wysokiej kultury, jak Booker Washington... oto bilans lat pięćdziesięciu rasy, która była jakoby przeznaczona do wiecznej służby u nóg ludzi barwy kości słoniowej lub brązu“.

Bez kwestji bilans ten świadczy o żywotności całej rasy i gdyby nie drzemiące w jej głębi siły nie zdołałby najdzielniejszy człowiek przy pomocy kilku mężczyzn i kobiet dobrej woli stworzyć z niczego dobrobytu i oświa-

\*) Hommes contre hommes — Jean Finot.

ty całego ludu. Ale żywotność rasy i w tym się objawia, że wydaje ona jednostki „wielkiego serca i wysokiej kultury“, które idą przed narodem niby słup ognisty, wcielenie ich dążeń i nadziei, ich ducha i ich przeznaczenia. Są oni błogosławieństwem swego ludu i ich najcenniejszym skarbem. Obcowanie z takim człowiekiem, choćby za pośrednictwem martwych kartek książki, może być dla młodych najlepszym lekarstwem na epidemicznie grasującą anemię woli i wyjałowienie dusz.

Oby książka niniejsza rozeszła się w setkach tysięcy egzemplarzy wśród naszych czytelników i nauczyła ich najpotrzebniejszej u nas amerykańskiej cnoty: nauczyła ich *chcieć*! Może nie potrzebuje ich uczyć kochać, ale niechaj ich uczuciowość pod jej wpływem z sentymentalno-marzycielskiej stanie się czynną i twórczą, z filantropijnej przedsiębiorczą, z wybuchowej ciągłą i wytrwałą. Niechaj nasz dzielny murzyn nauczy ich żyć i życie cenić! Jest ono tak wiele warte, że każda godzina znaczne odsetki przynosić może, jeśli się tylko każdą dla wielkiego celu sumiennie spożytkuje.

I. Moszczeńska.



## Przedmowa.

Starałem się dać czytelnikom opowiadanie proste bez upiększeń. Nie wiem, czy mi się to udało w zupełności. Większą część czasu swego i sił poświęcam pracy nad rozwojem Zakładów technicznych i normalnych w Tuskegee oraz staraniom o zdobycie środków na utrzymanie tych szkół. To też nieraz pisałem w drodze, w hotelu lub na stacji w oczekiwaniu następnego pociągu.



## Przedmowa

Zaczynam się do czytelnika opowiadanie proste  
bez upiększeń. Nie wiem czy mi się udało w zupeł-  
ności. Wiekami część czasu swego i się poświęcam  
pracy nad rozwojem Zakładu technicznych i normal-  
nych w Tussocke oraz statystom o zdobyć środków  
na utrzymanie tych szkół. To też nieraz pisłem w dro-  
dze, w hotelu lub na stacji w oczekiwaniu następnego  
pociągu



## ROZDZIAŁ I.

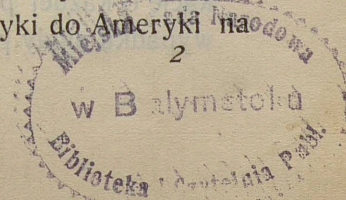
### Niewolnik między niewolnikami.

Urodziłem się niewolnikiem na plantacji hrabstwa Franklin w stanie Wirginja. Dokładnej daty urodzenia swego wskazać nie jestem w stanie, ani też nazwać owej plantacji; niechaj wystarczy zapewnienie, że się musiał gdzieś i kiedyś urodzić. O ile udało mi się zbadać, stało się to w roku 1858 lub 1859 (dnia ani miesiąca nie wiem) w pobliżu stacji pocztowej Hale's Ford.

Sięgając pamięcią do najwcześniejszych wspomnień, uprzytamniam sobie mieszkania niewolników na plantacji, raczej chałupinę, w której pierwsze lata spędziłem wśród najędźniejszych i najopłakańszych warunków. Rozpaczliwe położenie nie było bynajmniej skutkiem jakiegoś osobliwego okrucieństwa mych właścicieli, ci bowiem nie gorsi byli od innych. Owa tedy chałupa drewniana miała około 14 stóp kwadratowych. W niej mieszkaliśmy z matką, bratem i siostrą aż do ukończenia wojny, która nas uczyniła wolnymi.

O swych przodkach nie wiem nic prawie. Nieraz w dzieciennych latach, a nawet później obijały się o moje uszy szept, opowiadania czarnych o udręczeniach znoszonych podczas przeprawy z Afryki do Ameryki na

Wyzwolenie





statkach. W mękach tych brali niezawodnie udział przodkowie moi ze strony matki, ale szczegółów żadnych o swej rodzinie zebrać mi się nie udało. W dniach niewoli ktoby tam zwracał uwagę na rodzinne szczegóły, dotyczące czarnych. Wiem tylko, że jakiś nabywca zwrócił uwagę na moją matkę i został moim i jej właścicielem. Nowy dobytek w gospodarstwie zrobił tyle wrażenia, ile kupno nowego konia czy krowy. O swym ojcu wiem chyba jeszcze mniej niż o matce. Nawet nie znam jego nazwiska. Podobno był nim jakiś biały z sąsiedniej plantacji; napewno mogę tylko twierdzić jedno, a mianowicie, że nigdy niczym nie zdradził najbliższego zainteresowania się mną albo moim wychowaniem. Ale nie mam o to żadnego żalu. I on był ofiarą urządzeń niešťszych, w których naród grzał owego czasu.

Chałupa była nietylko naszym mieszkaniem, ale służyła za kuchnię dla plantacji. Kucharką była moja matka. W chałupie nie było okien, tylko jakieś otwory wpuszczające światło, a zarazem chłód i mroźne zimowe wiatry. Prowadziły do niej drzwi — to jest niby drzwi — ale zardzewiałe klamki, wiszące zawiasy, nie mówiąc już o zbytnej małości samych drzwi, uniemożliwiały użytkowanie tej części urządzenia. Na domiar złego, w lewym kącie izby na dole znajdowała się tak zwana *kocia jama* — otwór istniejący nieomal w każdej chałupie w Wirginji w epoce przedwojennej. Kocia jama była kwadratowym, na jakie ośm cali obszernym przejściem, mającym na celu udogodnić kotowi komunikację o każdej porze dnia i nocy z chałupą. W danym wypadku nigdy pojąć nie mogłem potrzeby istnienia ko-

ciej jamy wobec przynajmniej półtuzina innych dziur niemniej odpowiednich dla kocich wędrówek.

Nie było drewnianej podłogi; naga ziemia ją zastępowała. W samym środku głęboki dół, nakryty deskami, służył do chowania kartofli na zimę. Jedno wrażenie, związane z tym dołem kartoflanym, utkwilo mi wyraźnie w pamięci. Ilekroć wsypywano lub wydobywano zeń kartofle, zawsze zdołałem zdobyć jeden lub dwa i, upiekszy, spożyć z rozkoszą. Nie było też kuchni do gotowania w naszej plantacji; wszystkie potrawy dla białych i niewolników matka moja sporządzała nad otwartym ogniskiem, przeważnie w garnkach i saganach. Tak więc, w źle i niedbale zbudowanej chałupie cierpieliśmy zimą od chłodu, latem zaś żar, idący od ogniska, niemniej stawał się dokuczliwym.

Dziecięce lata moje nie różniły się od lat dziecięcych tysiąca innych dzieci murzyńskich. Matka, ma się rozumieć, nie wiele miała czasu na zajmowanie się dziećmi w ciągu dnia, chyba raniuteńko przed robotą i późnym wieczorem po robocie. Pamiętam, że raz, upiekszy w nocy kurczę, zbudziła nas troje, aby nieznanym przysmakiem uraczyć. W jaki sposób i skąd kurczaka dostała, nie wiem; domyślam się, że pochodził z kurnika właściciela. Niejeden powie, że to kradzież. I ja dziś nie zapatrywałbym się może inaczej i potępiłbym podobny czyn. Ale wówczas i w takim celu dokonany, nie byłby mnie w żadnym razie przejął oburzeniem względem matki. I ona była ofiarą systemu niewolnictwa.



Nie wiedziałem, co to jest spać w łóżku, aż póki Proklamacja wolności nie uczyniła nas swobodnemi. Wraz ze starszym bratem Janem i siostrą Amandą spaliliśmy na barłogu, rozpostartym na gołej brudnej ziemi, ściślej mówiąc, na jakiejś wiązce zbutwiałych gałęzi.

Niedawno zapytywano mnie o rozrywki i uciechy mojej młodości; wobec tego zacząłem się po raz pierwszy zastanawiać nad tym, iż w życiu moim nie było chwili poświęconej zabawie. Od czasu, kiedy cośkolwiek sobie zdołam przypomnieć, byłem zmuszony każdego dnia pracować; byłbym dziś może użyteczniejszym człowiekiem, gdybym w młodości był znał, co to zabawa. W epoce niewolnictwa byłem jeszcze zbyt mały, aby móc oddawać znaczniejsze usługi; wyręczano się mną dla zamiatania podwórza, noszenia wody ludziom w pole, chodzenia do młyna, dokąd też raz na tydzień zabierałem żyto do mielenia. Młyn był o trzy mile \*) od plantacji. Tej roboty lękałem się zazwyczaj strasznie. Zarzucano na grzbiet konia ciężki worek ze zbożem, zazwyczaj równomiernie podzielony, ale w drodze jakoś zawsze prawie coś się zrobiło, czy ziarno się przesypywało, czy też co innego, dość że z jednej strony nabierało się tyle, iż worek spadał z konia, częstokroć ze mną razem. Nie mając dość siły do naładowania napowrót worka, wyczekiwałem nieraz godzinami na przechodnia, któryby się zmiłował i dopomógł w kłopotcie. Godziny te schodziły mi na płaczu. Wskutek takiego bałamuce-

\*) angielskie.

nia spóźniałem się do młyna; zanim żyto zostało zmielone i w domu z powrotem się znalazłem, zaskakiwała mnie nieraz noc późna. Droga była samotna i wiodła przez bór gęsty. Trwoga mnie nie opuszczała. Mówiono, że bór pełen jest żołnierzy; uciekinierów z armji, którzy każdego napotkanego murzyna kaleczą, uszy mu obcinając. Poza tym każde spóźnienie groziło mi wyłajaniem lub chłostą.

O nauce jakiegokolwiek mowy nie było, pókim był niewolnikiem, chociaż niekiedy zdarzało mi się chodzić do szkoły za panienkami, niosąc ich książki. Widok kilkudziesięciu chłopców i dziewczątek, zgromadzonych w klasie i zatopionych w nauce, czynił na mnie głębokie wrażenie i doznawałem uczucia, że wstąpić do szkoły i uczyć się było to samo, co wstąpić do raju.

Pierwsze uświadomienie naszego położenia nastąpiło w umyśle moim pewnego dnia, gdy matka, ukląwszy obok nas, jęła gorąco i żarliwie modlić się o powodzenie dla Lincolna i jego armji i o to, by Bóg pozwolił jej ujrzeć dzieci wolnemi ludźmi. Pod tym względem zdumiewającą jest okoliczność, że wszyscy niewolnicy Południa, pogrążeni w ciemnocie, pozbawieni pism i wszelakich wieści, tak wspaniale i dokładnie byli informowani co do wszystkich kwestji, poruszających wtedy kraj i naród. Od chwili, gdy Garrison, Lovejoy i inni zaczęli propagować swobodę, caluteńkie Południe trzymało rękę na tętnie ruchu. Jakkolwiek w czasie przygotowań do wojny i podczas niej byłem jeszcze dzieckiem, doskonale pamiętam szept i narady, w jakie często wdawała się matka moja z innemi niewolnikami na plantacji. Narady



te wykazywały jawnie stopień zainteresowania się sprawą i korzystaniem z tak zwanej poczty winogronowej \*).

Podczas kampanji, w której Lincoln był zrazu kandydatem do prezydentury, niewolnicy, zarówno z naszej odległej plantacji jak i z innych, o setki mil oddaleni od kolei, miast, wszelkich ognisk życia, byli wtajemniczeni jak najwyborniej we wszystko i dowiadywali się o rezultatach nieraz wcześniej niż reszta mieszkańców.

Przy rozpoczęciu wojny między Północą a Południem każdy niewolnik czuł, że w liczbie różnych postanowień, będących na widoku, pierwsze miejsce zajmie sprawa niewolników. Najciemniejsi moi bracia z głuchych kątów czuli w głębi serca pewność niewątpliwą, że wynikiem wojny będzie przedewszystkim ich wyzwolenie, ma się rozumieć w razie zwycięstwa Północy. Każde powodzenie wojska związkowego przyjmowano z radością i niejednokrotnie murzyni wcześniej, aniżeli biali, o dobrej wieści wiedzieli. A pochodziło to stąd, iż będąc posłańcami poczt i telegrafów, obwieszczali każdą nowość, zanim jeszcze oficjalną się stała.

Ani w ciągu dzieciństwa, ani w chłopięcym wieku nie zdarzyło mi się widzieć całej naszej rodziny zgromadzonej przy stole, mówiącej pacierz i spożywającej potrawy w sposób kulturalny. Zarówno na plantacji, jak i następnie, karmiono dzieci jak zwierzątko: tu kromkę chleba, tam ochłapek mięsa, tu odrobinę mleka, tam znów parę kartofli. To jedno z nas wybierało

\*) pantoflowa poczta nasza.

resztki z sagana, to inne znów z półmiska zgarniało, a wszystko rękami, palcami.

Kiedym wyrósł na sporego chłopaka, wzięto mnie do dworu. Musiałem podczas obiadu odgarniać muchy wachlarzem z plisowanego papieru. Rozmowa toczyła się przeważnie o wojnie i spodziewanym wyzwoleniu niewolników, a ja wchłaniałem, com słyszał. Raz, pamiętam, dwie nasze panienki i jeszcze jakaś pani jadły na dziedzińcu pierniczki. Pierniczki te były w oczach moich przedmiotem niedoścignionych marzeń i postanowiłem sobie, że pierwszym czynem na swobodzie będzie nabycie i skosztowanie takiego niebiańskiego specjału.

W miarę przedłużania się wojny, biali częstokroć spotykali się z trudnością otrzymywania środków żywności. Nam się brak tego rodzaju mniej dawał we znaki, przywykliśmy bowiem do chleba żytniego i wieprzowiny, czego było jeszcze dosyć na miejscu, ale kawy, cukru, herbaty oraz wielu artykułów niezbędnych dla państwa nieraz dostać było niepodobna, musieli więc palić żyto zamiast kawy, a napoje słodzić melasą.

Pierwsze moje buty były drewniane. Miały cholewki skórzane, ale podeszwy, grube na cal co najmniej, były z drzewa. Nie mówiąc już o hałasie, jaki czyniły, strasznie były niewygodne, gdyż nie układały się do przyrodzonego kształtu nogi. Przytym wyglądałem w nich nad wyraz niezgrabnie. Ale największe katusze w latach młodocianych sprawiała mi koszula z konopi. W okolicach naszych używano konopi do sporządzania odzieży dla niewolników. W tym celu spożytkowywano najlichsze odpadki, niezdatne do sprzedaży, szorstkie,



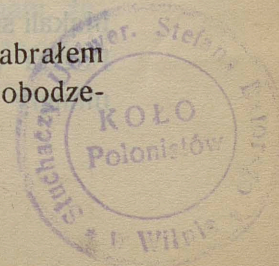
supełkowate włókna. Trudno sobie wyobrazić męczarnię boleśniejszą nad noszenie po raz pierwszy konopnej koszuli; niezręczne wyrywanie zęba może chyba sprawić ból podobny. Jest to coś w rodzaju ucisku łupin orzechowych lub klucia mnóstwa szpilek. W tej chwili najbardziej odczuwam jeszcze tortury doznane przy wdzie-  
waniu i noszeniu świeżej koszuli, ale cóż, kiedy nie było wyboru. Albo taka, albo żadna! Co do mnie, byłbym, ma się rozumieć, wolał chodzić nago, aniżeli stykać się z tą okropną szatą, ale rozkaz był wyraźny. W tym wypadku brat mój Jan, starszy o parę lat ode mnie, dokonał jednego z najszlachetniejszych czynów, jakie kiedykolwiek jeden niewolnik dla drugiego spełnił: oto kilkakrotnie, kiedy mnie zmuszano do włożenia nowej koszuli, on zastępował mnie i nosił ją przez dni kilka, póki się nie załamała w zgięciach i nie zmiękła. Do czasu, kiedy zostałem wyrostkiem, innego odzienia nie znałem. Łatwo pojąć, że rasa moja żywiła niechęć ku białym, zwłaszcza wobec faktu, iż walczyli zażarcie w boju, którego wynikiem w razie wygranej Południa byłoby utrzymanie niewolnictwa. U nas takiego rozgorczyenia nie było, podobnież i w innych plantacjach, w której obchodzono się jako tako z niewolnikami. Podczas wojny jeden z naszych paniczów zginął, dwóch zaś ciężko raniono. Przypominam sobie dokładnie żal, jaki powstał wśród niewolników na wieść o śmierci „Mars’ Billy”. Nie był to żal obłudny, ale istotny. Niektórzy z nas bawili się z „Mars’ Billy”, inni niańczyli go, dla niejednego wyblagał on przebaczenie u nadzorcy lub właściciela. Ale smutek w chałupach niewolników ani

w części nie dorównał żalowi w samym dworze. Tam, kiedy dwóch rannych paniczów przywieziono, służba wprost rozpaczała i na wszelkie sposoby objawiała współczucie. Każdy chciał brać udział w pielęgnowaniu, w czuwaniu nocą nad choremi, a współczucie to wynikało z wrodzonej dobroci serca. Niewolnicy byliby życie złożyli w ofierze dla obrony i ratowania pozostałych na plantacjach kobiet i dzieci białych. Niewolnika wybranego do czuwania nad dworem w nieobecności panów otaczaliśmy szacunkiem. Tylko po trupie stróża zdołałby napastnik jakiś dostać się do „pani” lub „młodych”. Nie wiem, o ile fakt ten ogólnie jest stwierdzony, ale ja osobiście nie znam wypadku, żeby niewolnik zdradził kiedykolwiek położone w sobie zaufanie.

Przeciwnie, wielu braci moich zajmowało się gorąco, po wyzwoleniu nawet, losem swych dawnych panów i pań, zubożałych wskutek wojny. Znam liczne przykłady pomocy materialnej, trwającej lata całe; wiem o takich wypadkach, gdzie dawni niewolnicy łożyli na kształcenie dzieci swych dawnych panów. Na jednej znacznej plantacji Południa pewien biały młodzieniec, nałogowy pijak, zubożał doszczętnie. Przez długie lata niewolnicy dawniejsi czuwali nad jego potrzebami, zasiłając go to kawą, to herbatą, to mięsiwem, to gotówką.

Z tego, com powiedział, nie należy sobie wyobrażać, żeby którykolwiek z niewolników nie pragnął wolności. Nie widziałem takiego, ani wogóle żadnego, któryby chciał wrócić do niewoli.

Doszedszy do wieku zastanawiania się, nabrałem przekonania, że przełom, wywołany oswobodze-





niem murzynów, nietylko im dał się we znaki. Cały mechanizm niewolnictwa był zbudowany w ten sposób, że pracę poczytywano za coś upokarzającego, odpowiedniego dla niższego szczebla ludzkości. Stąd praca była czymś, czego obie rasy pragnęły ze wszystkich sił uniknąć. Z liczego potomstwa mojego właściciela ani synowie, ani córki nie mieli pojęcia o jakimś fachu, jakimś rzemiośle, wogóle o czymś produkcyjnym. Dziewczyny nie umiały ani szyć, ani gotować, ani zarządzać gospodarstwem. Wszystko to było rzeczą niewolników. Ci zaś, nie będąc osobiście zainteresowani powodzeniem plantacji, byli nadto zbyt ciemni, aby swe czynności spełniać celowo, szybko, z najmniejszym nakładem kosztów i czasu. W rezultacie, szpar nikt nigdy nie zatykał, zawias nie przybijał, okien nie domykał, ścian nie tynkował, chwastów nie wyrывał. Pożywienia nie brakowało przy stole, ale nie znać było w domu starań, pieczy, nie czuć było tej chęci uczynienia domu miłym i dogodnym schronieniem, do którego się dąży i tęskni. Panowało jakieś opłakane trwonienie sił i materiałów. W chwili wyzwolenia właściciele, za wyłączeniem umiejętności czytania, byli nie więcej przygotowani do życia, niż niewolnicy.

Nareszcie wojna się skończyła i dzień wolności nastąpił. Była to dla nas wszystkich pamiętna i uroczysta, choć dawno oczekiwana, chwila. Wolność czuliśmy w powietrzu już od miesięcy. Powracający żołnierze błakali się po wsiach. Spotykano pułki na gościńcach. Poczta winogronowa pracowała dzień i noc. Wieści mknęły lotem błyskawicy od plantacji do plantacji.

W obawie najazdu „Yankesów“ srebra oraz inne kosztowności zakopywano w lasach lub ukrywano u zaufanych niewolników. Im bardziej dzień uroczysty się zbliżał, tym więcej śpiewów można było słyszeć w chałupach. Były jakieś śmielsze, dźwięczniejsze, przeciągały się dłużej w noc. Treść ich pełna była aluzji. I dawniej nie brak było przenośni w pieśniach, ale odnosiły się one niby do „lepszego świata“, nie zaś do wyobrażenia wolności na tej ziemi. Powoli maska opadała z twarzy i przyznawano się do istotnego znaczenia wierszy. W przeddzień owego wielkiego dnia dano znać niewolnikom, że coś niezwykłego nazajutrz ma się odbyć „we dworze“. Mało kto usnął tej nocy. Nadzieja i oczekiwanie przenikały do ostatniego kącika. Wczesnym rankiem nadszedł do młodych i starych rozkaz zgromadzenia się przed dworem. I ja z matką, bratem i siostrą udaliśmy się tam wraz z tłumem murzynów. Na ganku znajdowali się państwo nasi w komplecie. Na obliczach ich malowało się wielkie zainteresowanie, był smutek, ale nie było goryczy. Przypominając sobie doznane wówczas wrażenie, wydaje mi się, jakoby im przykro było tracić nie majątek, ale styczność z ludźmi blizkimi, których wychowali i którzy im byli drodzy. Jakiś obcy pan, zdaje się urzędnik, odczytał głośno urzędowy papier, poczym przemówił słów parę. Wówczas objawiono nam, żeśmy wolni i że możemy pójść, dokąd i kiedy nam się podoba. Matka moja wybuchnęła płaczem i oblewała łzami nasze twarze. Tłumaczyła nam, że dzień, o który tyle lat się modliła, właśnie nastał, że dzie-



ki Opatrzności doczekała urzeczywistnienia swych nadziei.

Przez chwil parę panowała radość, dziękczynienie i dzikie sceny ekstazy. Nie było i tu gorczy; przeciwnie, w niektórych niewolnikach odzywało się społeczenie dla właścicieli. Radość nie trwała zbyt długo i jeszcze, zanim zdążyli powrócić do chałup, w umysłach ich dokonywała się zmiana. Wielka odpowiedzialność, wynikająca z obecnego położenia, obowiązek myślenia o sobie, dzieciach, wszystko to naraz zaciążyło na tych nieborakach. Sprawy, wymagające stuleci dla ich rozwiązania, stanęły w oczach narodu niedoświadczonego. Należało pomyśleć o dachu, o chlebie, o wychowaniu dzieci, o gminie, kościele i innych obowiązkach. Cóż dziwnego tedy, że uciecha krótko trwała, a jakaś posępna troska jej miejsce w chałupach zajęła? Niejednemu naraz wolność przedstawiła się w mniej świetlanych barwach. Niektórzy murzyni mieli po siedmdziesiąt i przeszło lat, najlepszy wiek ich minął. Skąd tu wziąć siłę, by zarobić na chleb w obcej stronie i wśród obcych ludzi? Poza tym w głębi serc tkwiło przywiązanie do „starszych państwa“ oraz ich dzieci, i rozstanie z niemi zapowiadało się ciężko. Powoli, zrazu ukradkiem, jeden za drugim, niewolnicy poczęli sunąć ku dworowi, aby tam pocichutku nad przyszłą dolą się naradzić.

## ROZDZIAŁ II.

### Chłopięce lata.

Pierwszym postanowieniem, jakie wszyscy zgodnie powzięli, była zmiana nazwisk, a raczej ich przybranie, drugim—opuszczenie bodaj na dni kilka plantacji w celu poznania smaku wolności. Dotychczas murzyni posiadali tylko imiona chrzestne, nieraz z dodatkiem nazwiska właściciela. Tak John, należący do Hakera, nazywał się Haker's John. Odczuwając niezupełność tego stanu, przydano sobie nazwiska znakomitych ludzi, jak np. Lincoln, przeważnie między imieniem chrzestnym a następnym umieszczając spółgłoskę „dla powagi“.

Po krótkiej nieobecności, murzyni częstokroć wracali dobrowolnie do plantacji i, zawarszy jakiś rodzaj umowy z właścicielami, pracowali na niej w dalszym ciągu.

Mąż mojej matki, a mój i brata mego Jana ojczym, należał był do innych właścicieli. Ponieważ udało mu się znaleźć jakieś zajęcie w zachodniej Wirginji, natychmiast po ogłoszeniu wolności sprowadził matkę i nas do siebie. W owym czasie przejechać stan Wirginja ze wschodu na zachód było przedsięwzięciem nielada. Władowaliśmy na wóz nasze ubożuchne sprzę-



ty i nieco szmat, sami drałowaliśmy obok na piechotę, a mil do przebycia było kilkaset.

Żadne z nas nie wyruszało dotychczas z plantacji; podróż zatem do innego stanu była wydarzeniem wielkim. Wzruszającym było pożegnanie z braćmi oraz poprzedniami właścicielami.

Podróż trwała kilka tygodni. W ciągu całego tego czasu spaliśmy na wolnym powietrzu, a gotowali strawę w polu. Raz, pamiętam, matka postanowiła zanoć w opuszczonej chatce; urządziwszy nam pośłanie, zabrała się do sporządzenia posiłku. Właśnie, gdy rozniecony przez nią ogień zapłonął w kominie, ogromny czarny wąż spadł i zaczął rzucać się po ziemi. Natychmiast uciekliśmy z chałupy.

Przybyliśmy wreszcie do miejsca przeznaczenia, małej miejsciny Malden. Tu przemysłem panującym było wydobywanie soli z kopalń i naokół mnóstwo było warzeln. Ojczym w jednej z takich warzeln miał robotę i przygotował dla nas izdebkę. Nielepszą ona była od dawnej na plantacji, powiem nawet, że pod pewnym względem była gorszą. Tam bowiem, mimo przykrych warunków, mieliśmy przynajmniej zawsze dobre powietrze, gdy tymczasem w nowym pomieszczeniu, przyciśnięci jedno do drugiego, pozbawieni najpierwotniejszych udogodnień sanitarnych, cierpieliśmy strasznie; stęchła i duszność były wprost nieznośne. Ludność składała się z pstrej mieszaniny murzynów z najuboższymi i najciemniejszymi białymi. Pijatyki, bójki, gry rozmaite, kłótnie, walki, rozpusta wciąż nas otaczały. Ktokolwiek tam mieszkał, był w jakimś stosunku do przemysłu

sólnego. Jakkolwiek byłem jeszcze zupełnie mały, jednak ojczym oddał mnie zaraz z bratem do roboty, która zaczynała się o czwartej rano.

Pierwszych liter nauczyłem się podczas pracy w warzeln. Baryłki z solą były opatrzone rozmaitymi znakami, ojczymowa baryłka nosiła Nr. 18. Wieczorem znaczone je wszystkie. Naprzód nauczyłem się rozpoznawać nasz znak, nie mając wyobrażenia o reszcie liter lub cyfr.

Od chwili gdy w ogóle myśleć zaczął, marzeniem moim było nauczyć się czytać. Jeszcze będąc małym dzieciakiem, postanowiłem, że jeśli mi się nic innego dokonać w życiu nie uda, zdobędę przynajmniej umiejętność czytania książek i gazet. Wkrótce po naszym przybyciu do zachodniej Wirginji prosiłem matkę o jakąś książczykę. Skąd ją wyrwała, nie wiem, dość że pewnego dnia ujrzałem się w posiadaniu elementarza ułożonego w sposób znany: ba-be-bi i t. d. Odrazu wziąłem się do pożerania pierwszego druku, jaki kiedykolwiek znalazł się w mych rękach. Ktoś mi powiedział, że trzeba najprzód umieć abecadło; zabrałem się do tego gorliwie i na wszelkie sposoby, radząc sobie, jak mogłem, bez nauczyciela. W owych czasach nie było śród otoczenia mego nikogo, ktoby umiał czytać, zbliżyć się zaś do białego nie miałem odwagi. Po kilku tygodniach, sam nie wiem, w jaki sposób, opanowałem połowę abecadła. Na każdym kroku matka, o ile mogła, podzielała moje dążenia i przychodziła mi z pomocą. Będąc zupełnie ciemną, żywiła przecież nadzieje wyższe dla dzieci i posiadała znaczny zapas rozsądku i praktyczności, dzięki



którym na wszystko radę znaleźć potrafiła. Jeśli mi się udało dokonać czegoś ważniejszego w życiu, stało się to niezawodnie dzięki odziedziczonej po matce energii.

Właśnie w epoce walk moich i tęsknot za nauką, zjawił się w Malden młody murzynek z Ohio, gdzie go czytać nauczono. Jak tylko czarni dowiedzieli się o jego umiejętności, sprowadzono pismo i wieczorem, po robocie, otoczony gromadą ciekawych robotników obojga płci, chłopak odczytywał ostatnie wiadomości. Boże! Jakże ja jemu zazdrościłem! Wydawał mi się jedynym, najsowiciej przez przyrodę wyposażonym, wybranym na świecie.

Jakoś zaczęto przebąkiwać o potrzebie urządzenia czegoś w rodzaju szkoły dla dzieci murzyńskich, a ponieważ miała to być wogóle pierwsza szkołka dla czarnych, jaka kiedykolwiek w tej okolicy istniała, nic dziwnego, że umysły były poruszone i panowało niezwykle ożywienie. Najkłopotliwszym zadaniem było znalezienie nauczyciela. Młodzieniec z Ohio przedewszystkim narzucał się uwadze, ale wiek zbyt młody przemawiał przeciwko niemu. W toku narad zjawił się inny kandydat, jakiś były żołnierz, również z Ohio. Wkrótce dowiedziano się o nim, że posiada wiele nauki, i to skłoniło murzynów do przyjęcia go jako nauczyciela pierwszej szkoły. Każda rodzina zobowiązała się płacić pewną składkę miesięczną z warunkiem, żeby nauczyciel po jednym dniu kolejno w każdym domu spędzał. Układ taki był nie bez korzyści dla niego, albowiem starano mu się zazwyczaj jak najlepiej dogodzić. Z jakim

utęsknieniem wyczekiwałem kolei, t. j. pojawienia się nauczyciela w naszej izdebce!

Studja nad rasą, dążącą do nauki i rwącą się do uświadomienia, należą chyba do najbardziej interesujących badań. Kto jednakże nie miał sposobności znajdowania się w środowisku podobnym, nie zdoła sobie wyrobić pojęcia o intensywności żądzy wiedzy, jaką naród nasz pałał. Jak rzekłem, była to rasa cała, rwąca się do szkoły. Wielu było za młodych, lecz ani jednego, któryby się uważał za zbyt starego do spróbowania nauki. Jak tylko zdobyto kilku nauczycieli, potworzyło się prócz szkół dziennych sporo wieczornych. Pragnieniem starszych było nauczyć się czytać Biblię przed śmiercią. Wobec tego częstokroć można było w szkołach wieczornych zastać siedmdziesięcioletnich starców. I niedzielne szkoły, w których poza elementarzem jeszcze wykładów nie było, zawsze były przepełnione, zarówno jak dzienne i wieczorne. Niejednokrotnie oddalano kandydatów dla braku miejsca.

Otwarcie szkoły w Dolinie Kanahwa było dla mnie powodem jednej z największych przykrości w życiu. Ponieważ, pracując od jakich siedmiu miesięcy w warzelni, zacząłem przedstawiać materialną wartość, ojcym mój postanowił mnie od roboty nie odrywać. Ta decyzja zawisła nade mną jak gradowa chmura. Przykreść moją potęgowała okoliczność, że około miejsca, gdzie pracowałem, przechodziły szczęśliwe dzieciaki, idąc do szkoły rano i wracając z niej w południe. Ale powiedziałem sobie, że na złość i bez szkoły nauczę się czytać; z większym jeszcze zapałem zabrałem się do elementarza.



Spółczując ze mną, matka moja dopomagała mi i pocieszała, jak mogła. Porozumiano się jakoś z nauczycielem, żeby mi parę wskazówek dawał nocami, po dziennej pracy. Lekcje te były mi tak miłe, że chyba więcej korzystałem nocą, aniżeli tamte dzieci dniem.

Własne doświadczenie posłużyło mi w przyszłości za wskazówkę przy urządzaniu podobnych wieczornych szkół w Tuskegee. Ale dziecięce serce moje biło mocniej na myśl o szkółce dziennej i żadnej sposobności nie przepuściłem, aby sprawę mą poprzeć. Wreszcie stanęło na moim; pozwolono mi chodzić do szkoły z warunkiem, abym, wstawszy do dnia, pracował w warzelni do dziewiątej rano i po południu natychmiast do tejże roboty wracał. Lekcje zaczynały się o dziewiątej rano, ja zaś pracować musiałem do dziewiątej w warzelni, dość od szkoły odległej, wskutek czego wynikł dla mnie nowy kłopot. Ażeby uniknąć spóźnienia się do klasy, uległem pokusie, spełniając czyn, za który niejeden mnie potępi. Mimo to przyznać się muszę do faktu, albowiem posiadam wielką wiarę w potęgę i wpływ faktów. Ukrycie jakiejś prawdy zawsze komuś stratę przynieść musi.

W kantorze warzelni był duży zegar, do którego kilkuset robotników stosować się musiało. Poznałem, że jedynym środkiem uniknięcia spóźnienia było posunięcie zegara o kilkanaście minut. Powtarzałem tę czynność codziennie, póki się dozorca nie spostrzegł i nie zamknął w szafie zegara.

W pierwszych czasach mego pobytu w szkole znalazłem się wobec nowych kłopotów. Wszystkie

inne dzieci miały głowy nakryte czapkami, biretami, kapelusami, ja żadnego nakrycia głowy nie posiadałem. Zdaje się, że wogóle do owej chwili nie miałem nigdy nic w rodzaju kapelusza, i nikt o tej mojej potrzebie dotychczas nie pomyślał. Ale, ma się rozumieć, na widok różnicy tak wyraźnej czułem się mocno zawstydzony. Jak zwykle, przedstawiłem sprawę matce i choć pieniędzy nie było na sprawienie sobie „kupnej czapki“, niebawem paradowałem w birecie własną jej ręką z dwóch resztek tkaniny uszytym.

Wypadek z czapką stanowił dla mnie naukę, którą starałem się zawsze pamiętać i której, wedle możliwości, innym udzielałem. Z dumą zawsze myślałem o mojej matce, że posiadała zbyt wiele godności, aby chcieć wydawać się czymś innym, niż była, np. wpoić w kolegów moich przekonanie, że ona była w stanie sprawić mi czapkę, gdy w istocie tak nie było. Z dumą myślałem o tym, że nigdy nie zaciągnęła długu, nie mając pewności pokrycia go. Miałem od owego czasu mnóstwo czapek i kapeluszy, ale żaden nie sprawił mi takiej uciechy, jak owe dwa kawałki wełny zszyte przez moją matkę.

Drugi mój kłopot tyczył się mojego nazwiska, a raczej jakiegoś nazwiska wogóle. Jak dawno spaść mogłem, zawsze wołano na mnie Booker. Przed pójściem do szkoły nie śniło mi się, że mogę potrzebować dodatkowego określenia. Słyszając listę uczniów, zauważyłem, że każdy miał najmniej dwa imiona; niektórzy pozwolili sobie na zbytek trzech. Zdrętwiałem, czując, że lada chwila nauczyciel zażąda ode mnie nazwiska, i w krytycznej tej chwili zajaśniała mi myśl, jak błyska-



wica. Kiedy kolej przyszła na mnie, odpowiedziałem najspokojniej „Booker Washington“, tak, jak gdyby nigdy w życiu inaczej mnie nie nazywano. Pod tym nazwiskiem znany jestem dotychczas.

Wielokrotnie usiłowałem wyobrazić sobie, że posiadam galerję licznych i czczonych przodków, po których w puściźnie wziąłem dobre imię, majątek i znaczenie, zawsze jednak dochodziłem do wniosku, że w podobnym wypadku liczyłbym na czyjąś pomoc, opiekę i że ktoś byłby za mnie odpowiedzialnym. Postanowiłem tedy sam zostać owym protoplastą, którym pyszniłyby się wnuki i w którym znaleźliby podniętę do czynów dzielnych.

Względem murzynów świat jest źle uprzedzony, i czarny taki chłopiec musi wiele przeszkód zwalczyć i wielu pokusom się oprzeć, zanim celu dopnie. Jeśli biały coś przedsięwzię, sympatje mu towarzyszą, powodzenie jest nieomal pewne, gdy tymczasem wszyscy się dziwią, o ile murzyn na swoim postawi.

Posiadanie przodków, krewnych, stosunków odpowiedzialnych ma przecież swoje znaczenie. Biały młodzieniec wie dobrze, że popełniając błąd, dyskredytuje całą rodzinę, odłam społeczny, nawet ojczyznę, i nieraz już względy podobne wstrzymały chłopca od upadku. Z drugiej strony wspaniałe pochodzenie, znaczna parentela i pragnienie utrzymania splendoru, czy to materialnego, czy naukowego, stanowią często znakomitą podniętę dla młodzieży, podniętę sztucznie przez dane otoczenie potęgowaną.

Krótkie były i nieregularne godziny, poświęcone szkole. Niebawem trzeba było rozstać się z dzienną nauką i wrócić do warzelni. Powróciłem do szkoły wieczornej i tam, mogę powiedzieć, zdobyłem większą część wiadomości elementarnych. Trudno mi było o dobrego nauczyciela. Często, znalazzsy nareszcie kogoś, który się zgadzał mnie uczyć, przekonywałem się, że wiadomości jego były nieomal tak skąpe, jak moje własne. Nieraz wypadało mi biegać nocą po mil kilka dla wydania swych lekcji. Nigdy, pomimo najrozmaitszych rozczarowań i przykrości, nie było epoki w mych młodych latach, żebym na chwilę przestał myśleć o dalszym kształceniu.

Wkrótce po osiedleniu się naszym w Wirginji matka moja, nie bacząc na biedę domową, adoptowała sierotę, Jamesa Washingtona, i ten nigdy rodziny naszej nie opuścił.

Popracowawszy jakiś czas w warzelni, z woli ojczyma przenieśliśmy się do kopalni węgla kamiennego, skąd głównie dostarczano opału do owych warzelni. Tego się zawsze lękałem, raz dla tego, że robotnicy w kopalniach zawsze są brudni, przynajmniej podczas roboty, i że odmyć sadze, wżerające się w skórę, było zadaniem trudnym, a następnie, że węgiel znajdował się o jaką milę od wejścia do kopalni, w najstraszniejszych, ma się rozumieć, ciemnościach. Były tam różne szyby i oddziały, w których stałe się błąkałem, nie mogąc sobie zdać sprawy z położenia. Poza tym strach, że się zbłądziło, zwłaszcza gdy świeczka zgasła, gdy się było bez zapałki, i gdy na razie nie znalazł się nikt, ktoby



wyprowadził z tego piekła. Była to praca nietylko ciężka, lecz i niebezpieczna. Zawsze groził to jakiś wybuch, to jakieś przygniecenie walącym się złomem. Wypadków było sporo, wskutek czego żyłem w nieustannej trwodze.

Ileż to dzieci zmuszonych jest w okolicach kopalń przebywać w ciemnościach większą część lat młodych bez sposobności uczenia się. Co gorsza, przekonałem się, że chłopcy, rozpoczynający pracę w podziemiach, karłowacieją fizycznie i umysłowo. Wkrótce tracą chęć do czegokolwiekbądź.

W owych chwilach i później usiłowałem nieraz wejść w szczęśliwe położenie białego chłopca, w jego myśli, uczucia i widoki nieskrępowane żadną przeszkodą. Zazdrościłem młodzieńcowi mogącemu śmiało dobijać się stanowiska deputowanego, administratora, biskupa lub prezydenta dzięki swemu pochodzeniu i rasie. Usiłowałem wyobrazić sobie, jakbym w danych warunkach postępował, jakbym zaczął od samego początku i, wznosząc się wciąż, dościsgał najwyższego szczybla powodzenia.

Dziś przyznaję otwarcie, zazdroszczę daleko mniej białemu chłopcu, aniżeli dawniej. Dziś widzę, że powodzenie mierzy się nie zdobytym stanowiskiem, ale trudnościami pokonanymi w czasie walki.

Z tego punktu wychodząc, uznaję, że częstokroć pochodzenie i niepopularność murzyna stają się jego siłą, wyrabiając wolę i charakter. Murzyn, aby zdobyć uznanie, musi pracować ciężiej, wywiązywać się z obowiązków dokładniej. Z opaków życiowych wynosi on wy-

trwałość i tęgość, jakich nie zdobyli spółzawodnicy, uposażeni w cerę białą.

Ostatecznie wolę być murzynem, aniżeli członkiem jakiegokolwiek innej, uprzywilejowanej rasy. Zawsze przygnębiająco działały na mnie pretensje tych lub owych narodów, oparte jedynie na wrzekomej wyższości rasowej, tych lub owych osobników, domagających się pierwszeństwa na zasadzie należenia do pewnej, uświęconej rasy, nie zaś dla wartości osobistej. Smuciło mnie to dla tego, że świadom jestem faktu, iż samo należenie do jakiegoś szczepu *wyższego* nie prze człowieka naprzód, o ile nie posiada on zalet indywidualnych, tak samo, jak należenie do tak zwanej *niższej* rasy nie wstrzyma osobnika z energią i wybitną wolą.

Każdą prześladowana rasa, każdy człowiek prześladowany, winni czerpać siłę z wielkiego prawa ludzkiego, które jest wieczne i powszechne, że zasługa pod każdą skórą dostąpić w końcu musi uznania i oceny. Powiedziałem tych słów parę nie dla zwrócenia uwagi na siebie osobiście, lecz pod adresem rasy, do której mam szczęście należeć.



## ROZDZIAŁ III.

## Walka o naukę.

Pewnego dnia, pracując w kopalni, posłyszałem rozmowę dwu górników, rozprawiających o istniejącej gdzieś w dalszej Wirginji wielkiej szkole dla murzynów. Po raz pierwszy obita się o uszy moje wzmianka o jakimś zakładzie naukowym dla murzynów, będącym czymś więcej, niż nasze wiejskie szkółki.

Korzystając z ciemności, przysunąłem się, jak mogłem najbliżej, do rozmawiających górników. Jeden opowiadał drugiemu, że szkołę nietylko założono wyłącznie dla murzynów, ale istnieją tam różne udogodnienia, dzięki którym ubodzy ale pilni uczniowie mają sposobność odpracowania części kosztów utrzymania i nauki, i że każdy może się nauczyć jakiegoś fachu lub rzemiosła.

Słuchając tych wieści, myślałem, że szkoła ta jest najwspanialszym miejscem na kuli ziemskiej i niebo nawet nie przedstawiało dla mnie ponęt, mogących dorównać ponętom Instytutu Normalnego i Rolniczego Hampton w Wirginji, o którym właśnie była mowa. Odrazu postanowiłem udać się do tej szkoły, choć wyobrażenia nie

miałem, gdzie, jak daleko się znajdowała i w jaki sposób tam się dostać. Wiem tylko, że pochłoneła mnie jedna myśl i nie opuszczała odtąd ani we dnie ani w nocy — pójście do Hampton.

Pracowałem mimo to jeszcze przez parę miesięcy w kopalniach węgla. W tymże czasie doszła mnie wiadomość o posadzie wakującej w domu generała Ruffnera, właściciela kopalni i warzelni. Żona generała, pani Viola Ruffner, miała w całej okolicy opinię bardzo surowej, wymagającej gospodyni, nieubłaganej zwłaszcza dla usługujących chłopaków. Mało który utrzymał się w domu dłużej nad trzy lub cztery tygodnie. Każdy odchodził dla tej samej przyczyny; była zbyt wymagająca. Jednakowoż postanowiłem spróbować raczej służby u pani Ruffner, aniżeli pracować dalej w kopalniach, i matka poszła ofiarować jej moje usługi. Zgodzono mnie za wynagrodzeniem 5 dolarów miesięcznie.

Tyle słyszałem o srogości pani Ruffner, że poprostu bałem się zobaczyć ją i cały drżący stanąłem przed swą panią. Ale po kilkotygodniowym zaledwie pobycie w jej domu, zrozumiałem tę kobietę. Poznałem, że lubiła wokoło siebie czystość, żeby się krzątano zwinie i systematycznie i że przedewszystkiem dbała o uczciwość i otwartość. Nigdzie kurzu, śmieci, wszędzie drzwi, okna podomykane, dopasowane.

Nie pamiętam dokładnie, jak długo trwał mój obowiązek u pani Ruffner, zanim się udałem do Hampton; zdaje mi się, że około półtora roku. W każdym razie chętnie powtórzę tu, com już mówił nieraz, że nauki otrzymywane w jej domu dorównywały wartością wszel-



kim następnym, jakie pobierałem w szkołach. Do dzisiejszego dnia nie mogę widzieć skrawka papieru w pobliżu domu, czy na ulicy, żeby mnie nie brała chęć podnieść go. Nie mogę spojrzeć na podwórze zaśmiecone, żeby nie pragnąć go wymieść, na szparę w oknie lub w ścianie, żebym jej nie chciał naprawić, na ściany domu okopcone i brudne, żeby ich nie wybielić. Każdy brakujący guzik mam chęć przyszyć, każdą tłustą plamę wywabić.

Zamiast lękać się pani Ruffner, wkrótce nauczyłem się uważać ją za swą najlepszą przyjaciółkę. Przekonał się raz, że może mi zaufać, czyniła to bez zastrzeżeń.

W ciągu mego u niej pobytu zimą wolno mi było chodzić na godzinkę dziennie do szkoły, przeważnie jednak pracowałem nocami już to sam, już to przy pomocy płatnego nauczyciela. Pani Ruffner dodawała mi odwagi i spółczyła moim wysiłkom. U niej to zebrałem pierwsze swoje książki. Wyrwałem skądś skrzynię, otapetowałem jej boki, urządziłem w niej dwie półki i umieszczałem każdą książkę, jaka mi w ręce wpadła. To była pierwsza moja biblioteka.

Ani na chwilę nie porzuciłem myśli udania się do Instytutu Hampton. Na schyłku roku 1872 zdecydowałem się ruszyć w drogę, jakkolwiek nie miałem jeszcze określonego pojęcia o kierunku podróży i o kosztach pobytu. Oprócz matki mojej nikogo w zamiary swe nie wtajemniczałem, a i ona przejęta była lękiem z powodu mego szaleństwa tak dalece, że pozwolenia udzieliła mi z ciężkim sercem. Mały fundusik, jaki zebrałem w służbie, został już przez ojczyma zużytkowany na domowe

wydatki, tak że zaledwie zostało mi kilka dolarów na jakie takie odzienie i koszty podróży. Brat mój, Jan, dopomagał mi wedle sił, ale cóż, kiedy i jego zarobki w kopalni szły po większej części na pokrycie potrzeb domowych.

Wzruszającym było zainteresowanie się starszych murzynów moją wyprawą do Hampton. Myśl, że członek ich grona udaje się do zakładu wychowawczego z internatem przejmowała ich dumą. Jeden dał mi nieco grosza, drugi również, inny znów chustkę do nosa.

Nastał wreszcie dzień wielki i wyruszyłem w drogę. W małym, lichym tornistrze mieściły się moje rzeczy. Matka tego dnia jakoś opadła na siłach i duchu. Nie miałem nadziei ujżenia jej znowu i rozstanie było bardzo smutne. Trzymała się nieboraczka jak mogła. Koleją miałem przebyć tylko część drogi, resztę wypadło odbyć dyliżansem.

Przestrzeń z Malden do Hampton wynosi przeszło pięćset mil. Zaledwo od paru godzin byłem w drodze, kiedy pojął, że mi pieniędzy nie starczy na opłacenie kosztów podróży do Hampton. Jednego szczegółu chyba nigdy nie zapomnę. Wlekliśmy się przez kilka godzin po górach w starym dyliżansie, kiedy późnym wieczorem pocztyljon zatrzymał się przed nietynkowanym domem, który nazwał hotelem. Oprócz mnie wszyscy podróżni byli biali. W mojej głupocie wyobrażałem sobie, że hotel ten istniał dla wygody jadących dyliżansem: aby barwa skóry mogła być powodem wyróżnienia, nie przyszło mi do głowy. Kiedy już wszyscy rozgościli się w pokojach i szykowali się do wieczerzy, nieśmiało



stanąłem przed gospodarzem. Prawda, że w istocie nie miałem czym opłacić ani strawy ani noclegu, ale spodziewałem się trafić jakoś do względów gospodarza, albowiem noce były przejmująco zimne i trudno było zostawić kogoś na dworze. Nie zapytawszy nawet, czy mam pieniądze, człowiek ten stanowczo odmówił wpuszczenia mnie pod dach, nie mówiąc już o nakarmieniu. W ten sposób doświadczyłem po raz pierwszy, co znaczy barwa skóry. Przechadzając się przez noc całą, zdołałem nie zmarznąć. Dusza moja tak była przejęta chęcią dostania się do Hampton, że nie zdobyłem się nawet na żaden żal względem właściciela zajazdu.

Piechotą lub wpraszając się od czasu do czasu do wózków i wozów, dotarłem jakoś po kilkunastu dniach do miasta Richmond w Wirginji, o jakie dwadzieścia parę mil od Hampton odległego. Przybyłem tam nocą, brudny, odarty, zmęczony, głodny. Nigdy nie widziałem większego miasta i to potęgowało moje zmieszanie. Byłem absolutnie bez grosza. Bez żadnych znajomości, nie wiedziałem, w którą stronę się obrócić, co uczynić. Pukałem do kilku domów, ale wszędzie żądano zapłaty, a tej dać nie mogłem. Nie mając nic lepszego do roboty, włóczyłem się po ulicach. Na rynkach i w sklepach widziałem stopy frykasów i widok ten kusił mnie piekielnie. Zdaje się, że sprzedałbym był przyszłe skarby za kawałek ciasta z jabłkiem lub kęs mięsa, ale ani tych przysmaków, ani wogóle żadnego pożywienia nie udało mi się zdobyć.

Błąkałem się bez celu aż poza północ. W końcu zmęczyłem się tak okropnie, że nie mogłem zro-

bić kroku. Byłem wyczerpany, zgłodniały, ale nie zniechęcony. W chwili, gdy znużenie moje dosięgło ostateczności, znajdowałem się na dość wzniesionym chodniku, którego rynsztok gdzieś opatrzone był mostkiem. Pod jednym z takich mostków znalazłem sobie schronienie na noc, podłożywszy sobie tłumoczek pod głowę. Przez całą noc rozlegało się stąpanie kroków nade mną, ale nikt mnie nie zauważył.

Nazajutrz poczułem się nieco rzeświejszy, ale za to szalenie głodny, bo już wiele czasu upłynęło od chwili, gdy jadłem cośkolwiek. Gdy się tylko rozjaśniło tak dalece, że mogłem rozejrzeć, dostrzegłem, że znajduję się na wybrzeżu w pobliżu wielkiego statku, z którego wyładowywano surowiec. Natychmiast podszedłem do kapitana, zapytując, czy nie mógłbym też wziąć się do roboty, aby zarobić na pożywienie? Kapitan, jakiś widocznie dobrego serca biały człowiek, zgodził się. Pracowałem tak długo, póki nie zarobił na śniadanie i, o ile sobie dziś przypominam, było to jedno z najsmaczniejszych w moim życiu. Praca moja śnać przypadła kapitanowi do gustu, gdyż zgodził mnie na stałego robotnika za skromną opłatę dzienną. Bardzo mi to było na rękę i chodziłem przez jakiś czas do tej roboty. Po zapłaceniu wiktów zostało mi bardzo mało pieniędzy do odłożenia na koszt podróży do Hampton. Ażeby umożliwić w jak najkrótszym czasie skuteczenie mego zamiaru, spałem dalej pod mostkiem, pod którym znalazłem schronienie pierwszej nocy w Richmond.



W kilkanaście lat później mieszkańcy Richmond uczcili mnie przyjęciem honorowym, w którym przeszło dwa tysiące osób brało udział. Owacja ta odbywała się nieopodal owego chodnika z mostkiem, a myśl moja wracała wciąż do pamiętnych wrażeń, podczas gdy odzywano się do mnie serdecznie i z zapalem.

Zebrawszy kwotę dostateczną według mnie do dalszej podróży, podziękowałem kapitanowi za jego dobroć i ruszyłem dalej. Bez ważniejszych przygód, zajechałem do Hampton z pięćdziesięciu centami w kieszeni dla opłacenia mojej edukacji! Była to wprawdzie uciążliwa i pełna przykrości podróż, ale widok szkolnego gmachu trzypiętrowego o równych cegiełkach wynagrodził mi wszystkie walki stoczone z losem w celu przybycia tutaj. Gdyby ludzie, którzy na wzniesienie tego zakładu fundusz ofiarowali, zobaczyli, jaki wpływ jego widok wywarł na mnie oraz na tysiące innych chłopców, wtedy nabrałoby nowego zapалу do czynienia dobrze. Budynek ten wydał mi się najwspanialszym gmachem na świecie. Sam jego widok napełniał mnie nowym życiem. Czułem, że nowy świat mi się otwiera, że jakieś obszary, głębie, widnokreśli rozchylają się przede mną. Czułem, że przybyłem do ziemi obiecanej i postanowiłem nie ugiąć się pod żadnymi przeszkodami, lecz śmiało dążyć z największym wysiłkiem do zamierzonego celu, t. j. do spełnienia jak najwięcej dobrego w życiu.

Nie tracąc chwili czasu, pospieszyłem stanąć przed nauczycielką, aby mi wyznaczyła miejsce w jakiejś klasie. Przebywszy tyle czasu bez pożywienia, kąpieli, zmiany bielizny, nie mogłem, co prawda, wyrzucić na niej po-

chlebnego wrażenia i odrazu spostrzegłem na jej obliczu wątpliwość co do moich kwalifikacji na ucznia. Trudno nawet było brać jej za złe, że mnie wzięła za nicponia i włóczęgę. Nie odmówiła mi stanowczo przyjęcia, ale nie zdecydowała się też na moją korzyść. Wzdychałem z daleka, idąc za nią, i przekonywałem ją, jak mogłem. Tymczasem przyjmowała innych uczniów, co niemało przyczyniało się do sprawienia mi bólu, albowiem w głębi serca czułem, że jestem tyleż wart, co i oni, i również dobrze uczyłbym się potrafił.

Po upływie kilku godzin rzekła do mnie: „pokój do wydawania lekcji zaśmiecony, weź szczotkę i zamieć go“.

Tknęło mnie odrazu, że stąd przyjdzie moje zbawienie. Nigdy żaden rozkaz nie sprawił mi większej rozkoszy. Wiedziałem, że umiem świetnie zamiatać, dzięki naukom wymagającej pani Ruffner.

Powtórzyłem tę czynność trzykrotnie. Następnie wziąłem skurzaczkę i wytarłem kurz cztery razy. Wszystkie listwy, futryny, ławki, stoły, tablice, szafy obszedłem czterokrotnie ze swą ściereczką. Poza tym każdy sprzęt odsunąłem i najmniejszy kącik najdokładniej uporządkowałem. Zdawało mi się, że cała przyszłość moja zależy od wrażenia, jakie sprawię na nauczycielce porządnym sprzątnięciem klasy. Załatwiwszy się, poszedłem ożnamić jej, iż skończyłem. Dyrektorka знаła się na robocie. Wszedłszy do pokoju, obejrzała szafy i podłogę, potem chusteczką zaczęła wycierać listwy, stoły i ławki. Nie znalazłszy ani jednego pyłka nigdzie, rzekła spokojnie: „widzę, że dostaniesz się do zakładu“.



Nie było szczęśliwszej istoty nade mnie. To sprzątnięcie pokoju było moim szkolnym egzaminem, i nigdy uczeń nie był dumniejszym ze złożenia dowodu uzdolnienia, niż ja po owym powodzeniu. Od tego czasu przeszedłem jeszcze przez wiele egzaminów, ale żadnego chyba tak świetnie nie zdałem.

Opowiadam swoje własne przygody z okazji wstąpienia do zakładu w Hampton. Jednocześnie ze mną setki młodych murzynów przechodziło podobne moim walki z przeciwnościami, ale każdy chłopiec, każda dziewczyna mieli niezłomne postanowienie z walki tej wyjść zwycięsko.

Wogóle sprzątnięcie klasy utorowało mi drogę do całego kursu nauki. Na skutek przedstawień dyrektorki dostałem się do zakładu z warunkiem odrabiania pracą ręczną kosztów utrzymania i lekcji. Było to życie pełne trudu i mokołu, ale przywykłem do niego. Było sporo pokojów do sprzątania i trzeba było pracować późno w noc, a mimo to wstawać około czwartej rano, aby zdążyć napalić we wszystkich piecach i lekcji się nauczyć. Przez cały czas mego pobytu w Hampton, a nawet później, dyrektorka pozostała dla mnie życzliwą przyjaciółką. Rady jej i zachęty krzepiły mnie w najczarniejszych chwilach życia.

Napomknąłem o wrażeniu, jakie wywarł na mnie gmach szkolny, ale obowiązkiem moim jest wyznaczyć najgłębsze i najtrwalsze wrażenie, jakie w Hampton odniosłem, poznawszy najszlachetniejszą, pełną rzadkich zalet istotę ludzką, której równej nie spotkałem w życiu. Był to generał Samuel Armstrong.

Z wielu znakomitych duszą, charakterem i sercem ludzi, jakich miałem szczęście poznać, żaden, śmiało rzec mogę, nie sprostął generałowi Armstrong.

Dopiero co wyrwanemu z marnego otoczenia w kopalniach i plantacjach wydało się balsamem zetknięcie bezpośrednie z człowiekiem tej miary, co generał. Będąc z nim razem od wstąpienia do szkoły aż do ostatniego dnia mego tam pobytu, przejmowałem się dla niego wciąż coraz to większą. Zdaje mi się, że gdyby usunięto wszystkie budynki, wykłady, laboratoria i nauczycieli, a pozostawiono uczniom tylko sposobność stykania się codziennego z gien. Armstrong, już to samo stanowiłoby racjonalne i piękne wychowanie. Im jestem starszym, tym bardziej dochodzę do przekonania, że żaden najkosztowniejszy aparat pedagogiczny nie może pójść w porównanie z wpływem, jaki wywiera obcowanie z dzielnymi, wielkiego charakteru ludźmi. Jakże ja pragnę, żeby w naszych szkołach, zamiast tylu kosztownych ksiąg, młodzież mogła mieć w nauczycielach wzory do naśladowania!

Ostatnich parę miesięcy swego życia generał Armstrong przepędził w swoim domu w Tuskegee, sparaliżowany prawie zupełnie i nieomal pozbawiony mowy. Mimo to pracował dzień i noc nad dziełem swego życia. Nigdy nie spotkałem człowieka, któryby tak dalece zapomniiał o sobie, w którego umyśle chyba nigdy nie powstała chęć samolubna. Z tą samą gorliwością, z jaką poświęcał się dla Hampton, obecnie oddawał się zakładom wychowawczym Południa.

Trudno opisać władzę, jaką posiadał nad uczniami



w Hampton, albo zaufanie, jakim się cieszył. W rzeczy samej wszyscy go uwielbiali. Nigdy nie odmówił najmniejszemu rady, wskazówki, pomocy, interwencji. Będąc moim gościem w Alabamie, pozbawiony był władzy i wożono go w wózku. Razu jednego wypadło któremuś z dawnych uczniów powieźć go w górę po bardzo stromym urwisku; zmęczony do ostateczności uczeń zawołał: „Jakże rad jestem, że miałem szczęście dokonać czegoś naprawdę uciążliwego dla generała Armstronga!”

W Hampton zdarzyło się raz, że sypialnie były przepełnione do tego stopnia, iż nie sposób było przyjmować nowych uczniów. Ażeby jakkolwiek zaradzić temu, generał wpadł na pomysł rozbicia namiotów. Jak tylko rozeszła się wiadomość, że generałowi zależy na tym, aby niektórzy starsi w namiotach zamieszkali, znalazło się mnóstwo ochotników.

I ja byłem jednym z nich. Zima tego roku była sroga i dała się nam dotkliwie we znaki; do jakiego jednak stopnia, tego się generał nigdy nie dowiedział, bośmy się przed nim kryli.

Radość nam sprawiało uczucie, że odpowiedzieliśmy zaufaniu generała, oraz świadomość, że umożliwiamy wstęp do szkoły nowej garstce kandydatów. Niejednokrotnie wiatr obnażał zupełnie nasze schronienie, ale nazajutrz raniutko zjawiał się generał i swą powagą, wesołością i przyjaźnią rozpraszał wszelkie ślady zniechęcenia.

Przy tej sposobności muszę powiedzieć, że chociaż

generał Armstrong zasłużył na wyjątkowe uwielbienie, jednakże był tylko wybitniejszym typem całej grupy tych prawdziwie chrześcijańskich ludzi, którzy setkami poświęcali swe zdolności i czas murzyńskim szkołom i podniesieniu naszej rasy. Trudno znaleźć w historii przykłady większego oddania się, większej abnegacji dla jakiejś humanitarnej idei.

Życie w Hampton było nieustannym objawieniem; coraz to nowe światy odkrywały się przede mną. Biesiady o jednej i tej samej porze, obrusy na stołach, serwetki, tuby, wanny, szczotki i szczoteczki, prześcierała—wszystko to było nowością upajającą.

Nieraz myślę, że najważniejszą korzyścią odniesioną w Hampton, było używanie kąpiei. Wartość jej polega nie tylko na zachowaniu czystości ciała, ale przejmuję ona człowieka szacunkiem dla siebie samego i podnieca do dobrego. Podczas wszystkich moich następnych podróży starałem się zawsze o codzienną kąpiel. Niełatwym to było zadaniem, zwłaszcza gdy odwiedzałem swą rodzinę; wtedy wymykałem się do rzeki. Przy każdej sposobności, przemawiając do murzynów, kładłem nacisk na dobroczynny, kształcący wpływ kąpiei i na konieczność zachowania w najmniejszym domu kąpielni dla wanny.

W Hampton posiadałem przez jakiś czas tylko jedną parę skarpetek, które wciąż prałem nocą, susząc przy piecu, aby nazajutrz wdziać znowu czyste.

Cena wiktury miesięcznie wynosiła dziesięć dolarów. Część miałem płacić gotówką, resztę odrabiać. Jak już wspominałem, pięćdziesiąt centów było całym majątkiem,



jaki posiadałem, wstępując do zakładu. Z wyjątkiem kilku dolarów, które brat mój Jan przyrzekł mi przysyłać od czasu do czasu, nie miałem grosza na widoku. Postanowiłem tedy tak swą robotę wykonywać, ażeby pomoc moja okazała się nieodzowną. Istotnie wkrótce oznajmiono mi, że nic, prócz pracy, wzamian za pensjonat dawać nie będę potrzebował. Wykłady kosztowały około siedmdziesięciu dolarów rocznie. Tych, ma się rozumieć, w żadnym już razie opłacić nie mogłem, lecz, na skutek protekcji generała Armstronga, niejakiś pan Morgan przez cały czas pobytu mego w szkole wpis za mnie wnosił.

Po ukończeniu kursów w Hampton i objęciu stanowiska w Tuskegee odwiedziłem pana Morgana kilkakrotnie.

Niemniejszym kłopotem dla mnie było zdobycie potrzebnych książek i zaopatrzenie się w ubranie. Co do pierwszych, to przeważnie radziłem sobie pożyczając i przepisując od szczęśliwych kolegów. Ubrania byłem absolutnie pozbawiony. Niepokój mój wzmagał się wobec mającego nastąpić przeglądu uczniów, ustawionych rzędami, dla przekonania się o porządku ich garderoby. Obuwie musiało błyszczeć, guziki musiały być mocno przyszyte, plamy wywabione. Nosić jedno i to samo ubranie do roboty, do nauki i zachować je w stanie wzorowym — było zadaniem trudnym dla mnie do rozwiązania. Przekonawszy się o moim zapale i dobrych chęciach, opiekunowie szkoły czuwali nad tym, abym i ja skorzystał z zapasów znoszonego odzienia przysyłanych dla nas z Północy. Przesyłki te

były dobrodziejstwem dla setek ubogich i pilnych uczniów. Kto wie, czy bez tej pomocy przebrnąłbym przez szkołę.

W Hampton pierwszy raz w życiu spałem w łóżku i to przyzwoicie zaślany. Siedmiu jeszcze chłopców spało w tym samym pokoju, wszyscy dawniejsi uczniowie. Prześcieradło było dla mnie zagadką; raz kładłem się pod nim, raz na nim, ale przykład wkrótce nauczył mnie w tym i wielu innych wypadkach, jak się zachować.

Byłem jednym z najmłodszych uczniów. Znajdowali się tam mężczyźni i kobiety — do lat czterdziestu. Uprzymiarniając sobie dziś te dni, widzę, że mało gdzie zdarzy się sposobność widzenia kilkuset osób, tak gorączkowo przejętych chęcią nauki, jak tam. Każdy z uczących się na własnej skórze odczuł potrzebę kształcenia się. Niejeden zbyt był starym, ażeby zwalczyć trudności naukowe, i przykro było patrzeć na te wysiłki wiekowych uczniów, ale skupieniem i powagą wynagradzali oni luki pamięci. Wielu było tak ubogich, jak ja, również ciężko borykających się z losem; niejeden musiał pracować na rodziców albo na żonę.

Myślą przewodnią wszystkich była nadzieja podniesienia poziomu umysłowego swoich po powrocie do domu i do tego przygotowywali się usilnie. Nikt nie żył dla siebie. A cóż dopiero mówić o inspektorach i nauczycielach, tych wcielonych aniołach! Dniem i nocą, podczas roku szkolnego i wakacji, pracowali oni nad uczniami i zdawali się w pracy tej tylko szczęście i cel



życia znajdować. Dotychczas nie znaleźli murzyni jeszcze sposobności objawienia Amerykanom Północy wdzięczności swej całej, ale mam nadzieję, że wkrótce Południe oceni doznane dobrodziejstwa i da wyraz należy swym uczuciom.

---

#### ROZDZIAŁ IV.

##### Pomaganie drugim.

U schyłku pierwszego roku szkolnego nowy mnie zaskoczył kłopot. Większość moich kolegów udała się do domów na wakacje. Nie miałem za co udać się w podróż, ani dokąd się obrócić. Liczba uczniów, którym pozwolono zostać w Hampton przez wakacje, była bardzo ograniczona. Przygotowania kolegów do podróży i myśl o rodzinie oddalonej przynębiały mnie i denerwowały.

Posiadałem stare palto, co do którego przypuszczałem, że jest coś warte. Postanowiłem je sprzedać, ażeby osiągnąć choć trochę gotówki. Skoro się wieść o palcie rozeszła, zgłosił się jakiś murzyn z chęcią nabycia. Obejrzawszy palto, zapytał o cenę. Zażądałem trzech dolarów. Nie targując się wcale, zauważył: „Wie pan, co zrobimy, wezmę palto, dam panu gotówki pół dolara, a resztę dopłacę, kiedy będę mógł“. Łatwo sobie wyobrazić, com czuł w owej chwili.

Wobec tego należało dać za wygraną wszelkim zachciankom opuszczenia miasta. Wziąłem się więc na gwałt do szukania zajęcia, aby zarobić na konieczne po-



trzeby. Ponieważ zarówno nauczyciele, jak i uczniowie, już się rozjechali, samotność dokuczała mi bardzo. Po wielu trudach udało mi się znaleźć pracę w restauracji Fortress Monroe. Pensja wszakże zaledwo przewyższała utrzymanie. Na czytanie i naukę zostawało mi dość czasu między biesiadami, i pod tym względem lato owo przyniosło mi wiele korzyści.

Szkole zostałem winien za ten rok pierwszy szesnastie dolarów, których nie zdołałem odrobić. Pałałem chęcią odłożenia tej sumki w ciągu lata, aby dług pokryć. Uważałem go za honorowy i poprostu nie byłbym się odważył przestąpić na nowo progu szkolnego, nie załatwiwszy tej sprawy. Oszczędzałem wedle sił, prałem sobie sam bieliznę i obywałem się bez niezbędnych rzeczy a przecież — wakacje dogorywały, a ja nie miałem tych szesnastu dolarów!

Pewnego dnia, ostatniego, który na służbie w restauracji spędziłem, znalazłem pod stołem nowiutki papierek dziesięciodolarowy. Ledwo mogłem opanować radosne wzruszenie. Ponieważ leżał nie pod stołem, należącym do mego dyżuru, uważałem za właściwe pokazać pieniądze właścicielowi. I on był bardzo zadowolony, ale oznajmił mi, iż papier należy się jemu, gdyż on tej restauracji jest właścicielem i odebrał mi banknot. Był to nowy cios, przyznaję. Skłamałbym jednak, utrzymując, że podupał na duchu, tego bowiem nie było ani razu w mej młodości. Brałem się do wszystkiego z niezłomną pewnością powodzenia i nigdy nie miałem cierpliwości przysłuchiwać się żalom tych, którym „szczęście nie sprzyjało“. Odważyłem się zaj-

rzeć sytuacji w oczy. W ostatnim tygodniu udałem się do kasjera szkoły, generała Marshall, aby mu otwarcie stan rzeczy wyjawić. Na szczęście przyjął me słowa do wiadomości przychylnie i pozwolił spłacić dług w ciągu roku, nie robiąc trudności co do wstąpienia do szkoły.

Znowu na zeszłorocznych warunkach zabrałem się do pracy. W ciągu tego roku najwięcej utkwiły mi w pamięci nauki bezinteresowności ze strony uczących, które doprowadziły mnie do wniosku, że najwięcej szczęścia sprawia ludziom czynienie dobrze innym. Nauka ta utkwiła głęboko w mej duszy i nie rozstaję się z nią nigdy.

Jeżeli istotnie posiadam jakąkolwiek zdolność do wypowiedzania mów publicznych, to rozwinęła ją miss Lord. Poznawszy moje zamiłowanie w tym kierunku, udzielała mi wskazówek co do prawidłowego oddechania, wymowy, rozmachu i swady. Co prawda, mówić aby mówić nie nęciło mnie nigdy; niema według mnie nic bardziej pustego i niesmacznego, jak oderwane gadanie publiczne, ale od najmłodszych lat przejęty byłem chęcią uczynienia czegoś, co by ludzi zrobiło lepszymi i wskutek czego działałoby się ludziom lepiej. Nieustannym źródłem radości były dla mnie zebrania dyskusyjne, odbywające się w soboty wieczorami. Nie przepuściłem przez cały czas ani jednego, a nawet zorganizowałem dodatkowe rozprawy, które miały miejsce podczas dwudziestominutowej przerwy pomiędzy wieczorą a wieczornymi lekcjami. Przerwa ta dotychczas obracana bywała na przelewanie z próżnego w puste. Dwudziestu nas utworzyło stowarzyszenie, układające praktyczne tematy do obgadania, i możliwość



uszcześliwiania ludzkości rozmaitemi drogami obijała się o uszy nasze w coraz to nowych projektach, budząc zapal i otuchę w słuchaczach. Drugie moje wakacje spędziłem wśród rodziny, dzięki zasiłkowi otrzymanemu z domu.

Zostałem bezrobocie w warzelniach i kopalniach. Powtarzało się ono, ilekroć robotnicy nagromadzili jakieś oszczędności. Podczas bezrobocia tracili wszystko, co mieli, i zadłużeni powracali do roboty na poprzednich warunkach, lub też przenosili się do innych kopalń, ponosząc znaczne koszty.

Z dumą i zadowoleniem rodzina moja stwierdzała zmianę, zaszła we mnie od czasu rozstania. Interesowanie się mną spółbraci, osobliwie starszych, było wprost wzruszające. Wszędzie wypadło mi pójść, u każdego być na biesiadzie i za każdym razem swe przygody powtarzać! Poza tym miewałem mowy przed kościołem, przed niedzielną szkołą i w rozlicznych miejscach.

Mimo to nie mogłem znaleźć roboty, co dla mnie było rzeczą najważniejszą. Przedewszystkiem stawało na przeszkodzie bezrobocie, o czym już wspominałem. Miesiąc prawie zszedł mi na poszukiwaniach roboty, która pozwoliłaby mi opłacić koszty drogi do Hampton oraz odłożyć jakiś grosik na potrzeby szkolne.

Zaszedłem wreszcie do miejsca, znacznie odległego od domu; noc zapadła, zanim wyruszyłem z powrotem. W połowie drogi takie znużenie mną owładnęło, że, spotrzegszy jakąś szopę opuszczoną, wszedłem, aby się położyć. Nad ranem, w dalszej drodze spotkałem brata

Jana, który wyszedł naprzeciw mnie, aby mi udzielić smutnej wieści. Droga matka moja zmarła tej nocy.

Smutek i żal zagościły w moim sercu. Lubo od kilku lat schorzała, matka nie robiła na mnie takiego wrażenia, jakbym ją miał tak rychło utracić. Poza tym zawsze gorąco pragnąłem zamknąć jej sam powieki. W pracy bodźca dodawała mi nadzieja, że będę w możności ulżyć jej w starości. A i ona tak bardzo życzyła sobie doczekać chwili, w której dzieci zdobędą wykształcenie, ten jej cel wymarzony!

Wkrótce po śmierci matki dom nasz uległ rozprzężeniu. Siostra moja Amanda, pomimo najlepszych chęci, była zbyt młodą, aby dać sobie radę z gospodarstwem, a na gospodynię ojcu nie starczyło. Czasem mieliśmy obiad, często obywaliśmy się bez niego. Nikt nie doglądał porządku, i widok nieładu panującego wszędzie przejmował mnie odrazą.

Zacna pani Ruffner i tym razem wspierała mnie radą i pomagała mi w końcu, udzielając roboty. Udało mi się także popracować czas pewien w kopalni i zebrać nieco grosza. Wprawdzie nie mogłem zaopatrzyć się na zimę w cieplejszą odzież, ale rad byłem, że przynajmniej środki na podróż się znalazły.

Na jakie trzy tygodnie przed rozpoczęciem wykładów w Hampton doznałem przyjemnej niespodzianki w postaci listu od bardzo przychyłnej mi nauczycielki, gospodyni klasy, Miss Mackie. Prosiła mnie o wcześniejsze przybycie celem dopomożenia jej w doprowadzeniu do porządku gmachu i sprzętów na rozpoczynający się rok szkolny. Tegom właśnie oczekiwałem. Nadarzała się



sposobność pokrycia długu w kasie szkolnej. Wyruszyłem natychmiast.

W ciągu tych dwóch tygodni korzystałem z niezapomnianych nigdy nauk. Miss Mackie pochodziła z Północy z rodziny starej i wysoko kulturalnej, tym niemniej pracowała wraz ze mną gorliwie: myła okna, szorowała podłogi i omiatała ściany, wietrzyła pościel i t. d. Według niej nie można było rozpocząć sezonu, póki każda framauga, każda listwa nie była najdokładniej uszorowana, a przyłożenie ręki do tego sprawiało jej największą przyjemność. Zresztą zajmowała się corocznie tą samą pracą i wskazówki jej były nieocenione.

Wówczas z trudnością tylko mogłem pojąć, w jaki sposób kobieta z takim społecznym stanowiskiem i wykształceniem może oddawać się ciężkim robotom fizycznym chętnie i znajdować w tym przyjemność. Nie wiedziałem jeszcze, że taki doświadczalny wykład godności pracy więcej umoralnia i kształci, niż tomy książek treści abstrakcyjnej o imponujących tytułach. W żadnej ze szkół, zakładanych następnie przeze mnie, nie było na czele wykładów innego przedmiotu, jak wyrobienie zamiłowania do porządku i umiejętność wprowadzenia go własną ręką.

Ostatniego roku pracowałem ogromnie zajadle nad nauką. Szło mi o zdobycie największej sumy wiedzy o możliwość oświecania innych; pragnąłem otrzymać dyplom nauczycielski, co nastąpiło w czerwcu 1875. Rezultaty mego pobytu w Hampton dają się sformułować jak następuje:

Po pierwsze, poznałem wielkiego człowieka generała Armstronga, to jest poznałem charakter rzadkiej siły i prawdziwie chrześcijańskiej abnegacji.

Po drugie, nauczyłem się ocenić, co i wiele wychowanie może uczynić dla osobnika.

Przedtem sądziłem, jak wielu zresztą innych, że wychowanie polega na ułatwieniu uczniowi nauki książkowej i usunięciu go od pracy fizycznej. W Hampton nauczyłem się nie tylko szanować pracę ręczną, lecz ją pokochałem nie dla jej rezultatów materialnych, ale dla satysfakcji, jaką sprawia, oraz niezależności i zręczności, jaką u ludzi wyrabia. Tam poznałem, jak smakuje życie niesamolubne, jak uszczęśliwia czynienie ludzi pożytecznymi i szczęśliwymi.

Złożywszy egzaminy i wyszedszy niby skończonym człowiekiem, znalazłem się na świecie bez grosza. Znowu wraz z kilku kolegami zostałem kelnerem w hotelu jakimś, pożyczwszy sobie na wyekwipowanie nieco gotówki. Niebawem doszedłem do przekonania, że o usługiwaniu przy stole wyobrażenia nie mam, czego główny kelner się nie domyślał. Oddał mi pod opiekę stół, do którego zasiadło grono osób ze świata zamożnego i arystokratycznego. Nieumiejętność moja była tak jaskrawą, że mnie zwymyślali, czym przestraszony uciekłem, pozostawiając ich bez usługi. Wskutek tego zdegradowano mnie na posługacza.

Ale postanowiwszy nauczyć się fachu kelnerskiego, pracowałem w tym kierunku przez kilka tygodni tak zawzięcie, że utracone stanowisko poruczono mi na nowo.



Byłem w następstwie kilkakrotnie gościem tego samego hotelu.

Po zamknięciu letniego sezonu powróciłem do domu, do Malden, gdzie mi powierzono posadę nauczyciela szkoły murzyńskiej. Tu zaczął się najszcześniejszy period mego życia. Znalazłem pole działania wśród swoich, możliwość oświecania swych braci. Od razu poczułem, że wyłącznie książkowe wykształcenie nie było główną potrzebą ludu. Praca moja rozpoczynała się o ósmej rano, nie kończąc się, ma się rozumieć, przed dziesiątą wieczór. Poza wykładem uczyłem dzieci, jak mają czesać włosy, utrzymywać w czystości ręce i twarze, jak również ubranie. Główny nacisk kładłem na konieczność kąpieli i szczoteczki do zębów. Zastanawiając się rozważnie nad oświatą ludową, doszedłem do przekonania, że najważniejszymi czynnikami cywilizacji są tak drobne przedmioty, jak szczoteczka do zębów. Mnóstwo chłopców i dziewcząt, a także i starszych ludzi, zajętych podczas dnia pracą zarobkową, marzyło o zdobyciu jakich takich wiadomości; trzeba było otworzyć szkołę wieczorną. Od pierwszej chwili przepełniona była, podobnie jak dzienna, a postępy i starania uczniów pięćdziesięcioletnich nieraz budziły wzruszenie.

Nie zadowolając się temi dwiema szkołami, urządziłem czytelnię i stowarzyszenie dla dyskusji. W niedzielę prowadziłem wykład w dwóch szkołach niedzielnych w Malden i miasteczku pobliskim; poza tym udzielałem prywatnych lekcji niektórym uczniom, przygotowującym się do Hampton. Nie oglądając się na zapłatę i nie myśląc nawet o niej, uczyłem każdego, który pra-

nał, wszystkiego, czego mogłem nauczyć. Obfitość sposobności dopomagania drugim przejmowała mnie najżywszym zadowoleniem. Jako nauczyciel szkółek, pobierałem niewielkie wynagrodzenie.

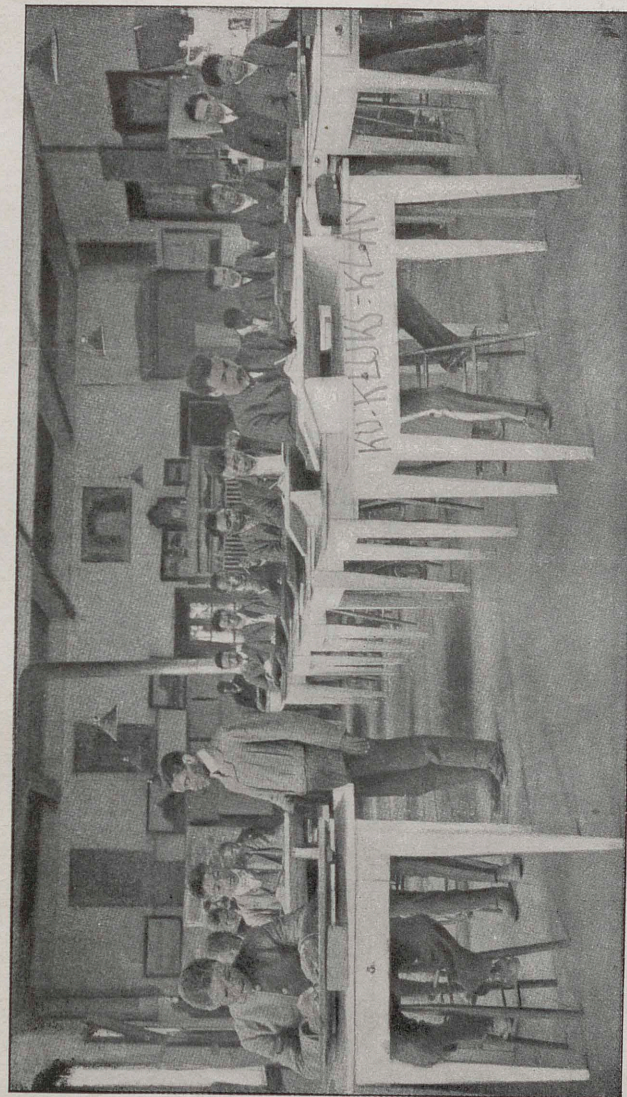
Brat mój, Jan, od dzieciństwa pracował w kopalniach, zapominając o sobie dla rodziny. Zaniedbał własne zdolności, aby dopomóc mi do ukończenia Hampton. Teraz z kolei ja żarliwie zabrałem się do ułatwienia mu wstępu do szkoły, odkładając zarazem pieniądze na jego wydatki. Zamiar mój udał się. Brat skończył zakład Hampton i obecnie jest naczelnym inspektorem warsztatów Tuskegee. Po jego powrocie z Hampton połączonymi siłami wysłaliśmy przyrodniego brata Jamesa do tejże samej szkoły i dziś jest on poczmistrzem w Tuskegee.

Podczas działalności mojej w Malden szajka tak zwanych Ku Klux Klan była u szczytu swej władzy. Celem połączenia się tych nikczemników było ograniczenie ruchu politycznego murzynów. Coś podobnego już istniało w czasie niewolnictwa. „Patrolerzy“, składający się z białych, działali również w celu przeszkodzenia murzynom z różnych plantacji komunikowania się ze sobą, tworzenia jakichkolwiek planów, zgromadzeń. Zarówno jak patrolerzy, i Ku Kluxi operowali przeważnie nocą. Dążąc do unicestwienia życia duchowego murzynów, burzyli szkoły i kościoły, co pochłaniało za sobą wiele ofiar w ludziach. Walcząc za swe zdobycze, ginęli murzyni w znacznej liczbie, ale i niejeden biały, stając w obronie pokrzywdzonych niewolników, życie postradał. Jedną z tych utarczek widziałem w Mal-



den; pomiędzy ofiarami znajdował się generał Ruffner, mąż mej zacnej opiekunki. Walczył za swych czarnych przyjaciół i odniósł ranę ciężką, z której się do śmierci nie wylizał. Patrząc na te walki, zdawało mi się, że niema przyszłości dla mojej rasy w tych stronach. Epoka Ku Kluxów była najciemniejszą fazą dni odrodzenia naszego.

Zatrzymałem się chwilowo na tym epizodzie, ażeby wykazać jaka zmiana nastąpiła od dni Ku-Kluxów. Dziś nietylko że takich stowarzyszeń niema, ale o ich istnieniu zapomniano, i uczucie narodów wzdryga się na myśl o nienawiści dwóch klas, dwóch szczepów, żyjących pod jednym niebem.



KLASA RYSUNKÓW MECHANICZNYCH.



## ROZDZIAŁ V.

### Okres odrodzenia.

Tak nazwać można czas od r. 1867 do 1878. Byłem wtedy najprzód studentem w Hampton, a następnie nauczycielem w Zach. Wirginji. Naród nasz, a przynajmniej większość umysłów, przenikały dwie idee, a raczej dwie manje, a mianowicie: nauka greczyzny i łaciny oraz obieranie stanu duchownego.

Od narodu, który tyle lat przepędził w niewolnictwie, ucisku i nędzy, a przedtem w najgrubszym pogaństwie, nie można było wymagać, żeby sobie odrazu utworzył dokładne pojęcie o wychowaniu. W każdej osadzie Południa po wyzwoleniu powstały szkoły i szkółki, przepełnione po brzegi uczniami do lat siedmdziesięciu.

Chęć wiedzy niewątpliwie była chwalebną i szlachetną sama w sobie, ale jednocześnie wyrobiło się przekonanie u ludu, że zdobyte, bodaj najskromniejsze, wykształcenie zwolnić powinno od obowiązków innych, przedewszystkiem od pracy ręcznej. Dalej oddawano się mylnym pojęciom, iż znajomość łaciny i greckiego czyniła człowieka jakąś istotą wyższą, czymś graniczącym



nieomal z nadczłowiekiem. Pamiętam, że zobaczywszy po raz pierwszy murzyna obznajmionego z obcemi językami, uważałem go za najgodniejszego zazdrości. Wobec tego, rzecz prosta, że murzyni przedewszystkiem zostawali kaznodziejami i nauczycielami. Wielu pomiędzy niemi było poważnych i dobrze myślących ludzi, zarówno mężczyzn jak kobiet, ale większość wybierała te stanowiska dla zysku, dla utrzymania. Śród nauczycieli można było spotkać takich, którzy ledwo podpisać się umieli. Raz pamiętam, zjawił się jeden taki kandydat, poszukujący wykładów w szkole. Kwestja powstała w jego obecności co do sposobu, w jaki należy opowiadać dzieciom o kulistości ziemi. Kandydat gotów był, jak utrzymywał, uznać ziemię płaską lub kulistą, stosownie do zdania większości swych zwierzchników.

Służba boża też nęciła mnóstwo murzynów, co jeszcze i dziś, lubo w znacznie mniejszych rozmiarach, ma miejsce. Nie bacząc na absolutny brak naukowego przygotowania, każdy adept utrzymywał, że ma „powołanie”. Powołanie to objawiało się niemal natychmiast po nauczaniu się czytania. Obserwowałem to ciekawe zjawisko u siebie w Zach. Wirginji. Zazwyczaj „powołanie” przychodziło w kościele. Dany osobnik ni stąd ni zowąd padał na ziemię, jakby rażony kulą, i tak pozostawał godziny całe bez mowy i ruchu. Lotem strzały rozchodziła się fama, że na tego a tego padło „powołanie”. W razie przeszkód upadek ten się powtarzał, tak że w końcu trzeba było posłuchać głosu wyższego. W początkach moich walk o naukę zawsze lękałem się przybycia takiego „powołania”, ale nie wiem, dla czego

jakoś u mnie nic podobnego się nie zdarzyło. Liczba duchownych wzrosła do tego stopnia, że w parafji, liczącej do dwuchset osób, było ich osiemnastu. Powtarzam jednak, że wszystko to znacznie na korzyść się zmieniło.

Zapał do spraw politycznych niemniej działał porażająco, i sam niejednokrotnie blizki byłem wpadnięcia w wir agitacyjny. Uczucie, że więcej pożytku sprawię narodowi swemu, niosąc mu oświatę i opierając wychowanie rasy na szlachetnych zasadach, wstrzymywało mnie zawsze. Widziałem murzynów, członków komisji prawodawczej, i urzędników nie umiejących czytać, których przekonania moralne również były słabe, jak ich nauka. Niedawno, przechodząc ulicami jakiegoś miasta Południa koło nowobudującego się domu, usłyszałem mularzy wołających z rusztowania: — gubernatorze, dalej — żywo — podawaj cegły! Żywo — gubernator! Dalej gubernator! Wiedziony ciekawością zapytałem o znaczenie tego wykrzyknika, na co mi odpowiedziano, że murzyn-mularz zajmował kiedyś stanowisko wicegubernatora w swoim Stanie. Naród mój, jak każdy inny niedoświadczony politycznie, wzniesiony nagle z przepaści niewoli na wyżyny wolności — popełniał błędy. Białym Południa się zdaje, że gdyby obecnie murzyni mieli swobodę akcji politycznej, te same błędy byłyby powtórzone; jestem zupełnie przeciwnego zdania, bo wiem, że dzisiejszy murzyn inaczej myśli i rozumie niż przed laty trzydziestu pięciu i wie dobrze, że niewolno mu postępować tak, aby zrazić ku sobie białych sąsiadów. Coraz więcej ożywia mnie otucha, że niedale-



cy jesteśmv •od zupełnego równouprawnienia, polegającego na wzajemnym zaufaniu i pojmowaniu się.

Przygotowawszy obu swych braci i wielu innych kandydatów do szkoły w Hampton, przeprowadziwszy organizację kilkunastu szkół rozmaitych w Malden, postanowiłem udać się na jakiś czas do Waszyngtonu celem uzupełnienia studjów. Pracowałem tam porządnie, poznałem wielu kolegów i koleżanki. Tutaj nie było już pracy rękodzielniczej ani ręcznej; tu uczniowie byli zamożniejsi, lepiej ubrani, tu umysły jaśniały inteligencją. W Hampton każdy ubogi uczeń mógł należność odrabiać pracą całkowicie lub częściowo, tutaj prawie bez wyjątku był ktoś taki, co za ucznia płacił. W Hampton uczniowie zdobywali wykształcenie z największym nieraz wysiłkiem, który niezmierne miał znaczenie, wyrabiał bowiem charakter. W Waszyngtonie uczniowie byli mniej niezależni, więcej zwracali uwagi na okoliczności, pozory, słowem rozwój nie szedł tam od podstaw, nie budował się na silnym gruncie moralnym. Wprawdzie umieli więcej łaciny i greckiego, niż my, opuszczając zakład naukowy, ale mniej znali życie i jego warunki rzeczywiste. Przeżywszy lat parę wśród wygód i dostatku mniej mieli ochoty zakopać się na Południu dla pracy nad rasą, a bardziej nęciła ich karjera wielkowiejska i pociągał większy zarobek.

W owym czasie Waszyngton zalany był murzynami, którzy dla przeróżnych widoków tu przybyli. Z prawdziwym zajęciem studjowałem ich życie i poznałem, że, za wyłączeniem nielicznej garstki obywateli poważnych, reszta składała się z ludzi powierzchownych. Zatrwo-

żyłem się widząc, jak czarny młodzian, zarabiający najwyższej cztery dolary tygodniowo, za jeden spacer konny po Pennsylvania Avenue płacił połowę zarobku, aby ludziom oczy zamydlić. Widziałem urzędników rządowych zadłużających się coraz więcej. Wogóle wszyscy oglądali się na rząd, od rządu oczekiwali pomocy, opieki. Chodziło im głównie o to, aby się przyczepić przy jakim urzędziku, u jakiegoś biura. Jakże gorąco pragnąłem posiadać moc magiczną, któraby mi pozwoliła poruszyć tę ciżbę i rozsiać ją po wsiach i osadach, zbliżyć do gleby, do nigdy nie zawodzącej matki przyrody, skąd początek wzięły wszystkie rasy i narody, początek uciążliwy i nie szybki, ale prowadzący do celu, t. j. zadowolenia i życia.

W Waszyngtonie widziałem dziewczęta, nauczone prac i prasować przez matki praczek. Przebywszy lat kilka w szkołach, zapragnęły strojów i zbytków. Wraz z potrzebami nie wzrosła jednak w równej mierze ich zdolność zarobkowania, a te sześć lat spędzonych nad książką wyżłobiły przepaść między nimi i rodzicami. Poszły na złą drogę, zmarnowały się. O ile lepiej byłoby dać tym dziewczynom tę samą dozę wykształcenia książkowego, które bogaci umysł, ale jednocześnie i wyspecjalizować je najdokładniej w jakimś praktycznym fachu czy to gospodarskim, czy kuchennym, zawsze z ręczną pracą związek mającym.



## ROZDZIAŁ VI.

### Czarni i czerwoni.

W czasie pobytu mego w Waszyngtonie powstała agitacja w celu przeniesienia stolicy Stanu Wirginja z Wheeling do innego miasta. Pomiędzy wyznaczonemi przez rząd znajdowało się miasto Charleston, tuż w pobliżu Malden leżące. Ku wielkiemu mojemu zdumieniu otrzymałem pewnego dnia od komitetu białych z Charleston zaproszenie reprezentowania tegoż miasta. Przyjąwszy obowiązek ten, jeździłem z jakie trzy miesiące z mowami i w końcu odniosłem przychylny rezultat. Charleston dotychczas jest stałym siedliskiem rządu. Wobec mego powodzenia, jako mówcy, namawiano mnie usilnie, abym się oddał sprawom politycznym, ale odmówiłem, ufając, że znajdę zajęcie pożyteczniejsze dla mego narodu. Dać mu zasady i zamiłowanie do porządku i pracy fizycznej było według mnie na razie najważniejszym zadaniem.

Wielu rówieśników moich kształciło się z zamiarem zostania adwokatami, deputowanemi; kobiety kierowały się na profesorki muzyki, mnie zaś wciąż się zdawało, i to od pierwszej młodości, że główną potrzebą

było przygotować grunt kulturalny dla tych przyszłych adwokatów, deputowanych i nauczycieli muzyki.

Coś podobnego do tego stanu rzeczy widziałem w anegdocie o starym murzynie, który zapragnął uczyć się grać na gitarze. Zwrócił się do swego pana, ale ten, nie mając zbyt wielkiego zaufania do zdolności i wytrwania starego niewolnika, rzekł: „Dobrze, Jacku, dam ci lekcje, ale zapłacisz mi za pierwszą trzy dolary, za drugą dwa, za trzecią tylko jednego — ostatnia lekcja będzie cię tylko 25 centów kosztowała“. „I owszem“, odparł Jack — „zgadzam się na te warunki, ale proszę mi dać ostatnią lekcję najpierw“.

Przeprowadziwszy sprawę miasta Charleston, zostałem zaszczycony przez gien. Armstronga wezwaniem do Hampton dla wypowiedzenia tam mowy z racji pierwszego jubileuszu zakładu. O podobnym zaszczycie nie śmiałem marzyć. Po starannym zastanowieniu wybrałem temat: „Siła, która zwycięża“.

Jadąc do Hampton dla wypowiedzenia tej mowy, mijając kolejną te same przestrzenie, które w tak odmiennych warunkach poznałem przed sześciu laty, kiedy, jako oberwaniec, włókł się tą drogą, doznawałem dziwnych wzruszeń. Nie pragnąc mówić tutaj o sobie, muszę powiedzieć, że rzadko zdarza się, by sześć lat dokonało takich zmian w życiu i dążeniach młodego człowieka.

Zarówno od nauczycieli, jak i uczniów, doznałem gorącego przyjęcia. Zaznaczyłem jeszcze większe zbliżenie się do ideału szkoły wnikającej w potrzeby swego narodu; postępy w każdym kierunku były wielkie.



W niczym tu nie wzorowano się na istniejących „uznanych” instytucjach, i każde ulepszenie wynikało z istotnych potrzeb, z doświadczenia, a przeprowadzała je silna dłoń gien. Armstronga, którego niezmiennym celem było zaspokoić potrzeby ludu w danej chwili. Zbyt często, według mnie, system pedagogiczny polega na powtarzaniu tego, co się przed stu, choćby nawet pięćdziesięciu laty robiło, lub co się robi w innych krajach odległych o tysiące mil. Wskutek tego młodzież różnych krajów, klimatów, rozmaitej kultury, podlega jednemu typowi wychowania i wykształcenia, bez względu na warunki otoczenia i cel społeczny. Tego niewolniczego hołdowania tradycji nie było w Hampton.

Niedługo potem zawezwano mnie znowu do Hampton, tym razem dla prowadzenia wykładów. Było to w r. 1878. Ponieważ przygotowałem moich dwóch braci i kilku jeszcze uczniów o wybitnych zdolnościach do zakładu i okazało się, że można ich było przyjąć od razu do klasy wyższej, więc wskutek tego postanowiono ofiarować mi posadę nauczyciela.

Generał Armstrong podejmował właśnie pierwsze próby kształcenia Indian w Hampton. Mało kto podzielał jego nadzieje co do tego plemienia. Chcąc od razu czynić doświadczenia na większą skalę, generał sprowadził przeszło setkę dzikich i kompletnie ciemnych Indian, przeważnie młodych chłopaków. Mnie porucił zadanie pozostania ich „gospodarzem domu”, ich opiekunem, że tak powiem. Miałem z nimi razem mieszkać i myśleć o karności, porządku, wygodach i tak dalej. Szalenie mnie to nęciło, z drugiej zaś strony żał mi było

opuścić zajęcia swe w Z. Wirginji, gdzie było pracy po uszy. Czyż podobna jednak było odmówić jakiegokolwiek usługi jen. Armstrong?

W Hampton zająłem budynek odrębny wraz z siedmdziesięciu pięciu młodemi Indianami. Oprócz mnie nie było nikogo z rasy nieczzerwonej. Zrazu zdawało mi się, że trudności są niepokonane. Czerwony ma zakorzenione poczucie wyższości nad białym, tym bardziej nad murzynem, którym pogardza za to, że się pozwolił uczynić niewolnikiem, czegooby Indianin nigdy nie dopuścił. Indianie sami posiadali byli na swych terytorjach mnóstwo niewolników murzynów. Poza tym w oczach osób kompetentnych z Hampton, cała sprawa cywilizacji czerwonych opierała się na kruchych podstawach.

Postępowałem tedy nader oględnie, czując wielką swą odpowiedzialność. Ale postanowiłem sobie dopiąć celu. Niebawem zdobyłem zaufanie powierzonej mi młodzieży i co więcej—ich miłość i szacunek. Byli tacy sami, jak wszyscy ludzie, reagowali na dobre i złe postępowanie w odpowiedni sposób. Bezustannie myśleli o tym, żeby mi sprawić przyjemność lub w czymś dogodzić. Okropnie nie lubili rozstawać się ze swymi długimi kędziorami, barwistemi kołdrami i paleniem, tymczasem Amerykanin póty nie nazwie obcej rasy cywilizowaną, póki nie przywdzieje jego odzieży, nie przemówi jego mową, nie zacznie żywić się jego pokarmem i wyznawać jego religji.

Pominąwszy trudności językowe, poznałem, że na punkcie wszelkich nauk i rzemiosł, Indianie zgoła nie



różnili się od reszty uczniów. Rozkoszą moją było widzieć gorliwość, z jaką murzyni przychodzili z pomocą swym czerwonym kolegom, jak ich zapraszali do swych mieszkań celem ułatwienia im nauczania się języka i cywilizowanych obyczajów.

Nieraz zadawałem sobie pytanie, czy w jakimkolwiek zakładzie naukowym dla białych przyjętoby z taką serdeczną ochotą setkę towarzyszy rasy odmiennej, jak to nasi czarni uczynili z czerwonymi. Ileż razy miałem chęć powiedzieć białym, że, podnosząc maluczkich, siebie zarazem podnoszą i że, im niższa, im bardziej ciemna jest rasa, którą się cywilizuje, tym każda pomoc więcej uszlachetnia działających.

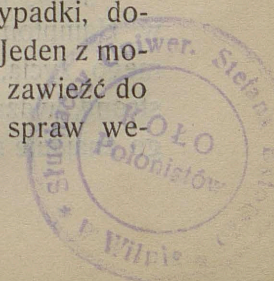
Muszę tu przytoczyć wypadek, który zaszedł z p. Fryderykiem Douglass, murzynem i jednocześnie powszechnie cenionym duchownym. Podróżując po Pensylwanii p. Douglass, ze względu na barwę swą, zniewolony był usiąść w brankardzie, pomimo że zapłacił za miejsce w przedziale osobowym, jak inni. Na wyrażone mu przez niektórych podróżnych spójście w słowach: „ach jak nam przykro, panie Douglass, że pan doznał tak niesłusznego upokorzenia“, p. D. odrzekł: „Nikt nie jest zdolny upokorzyć Fryderyka Douglassa, to jest jego duszy. Upokorzeni są ci, którzy względem mnie w taki sposób postąpili“.

W okolicach, gdzie prawo wymaga, żeby na drogach żelaznych rasy były rozdzielane, byłem raz świadkiem zabobonnej historii, wykazującej, jak to trudno czasem poznać, gdzie się kończy murzyn a zaczyna biały.

Był pewien murzyn, dobrze znany w swej gminie, ale o tak białej płci, że nawet ekspert z trudnościami go do murzynów zaliczył. Podróżował on raz koleją żelazną, zajmując miejsce przeznaczone dla ciemnych podróżnych. Wkrótce zjawił się konduktor i ma się rozumieć wpadł w kłopotliwą sytuację. Jeśli pasażer był murzynem, nie można go było przeprowadzić do przedziału białych, białego zaś nie śmiał obrazić ubliżającym zapytaniem. Obejrzawszy dokładnie podróżnego, jego oczy, włosy, ręce, coraz czuł się mniej pewnym siebie. W końcu, aby wreszcie zagadkę rozwiązać, odsunął się i jął się przyglądać nogom. Wówczas rzekłem do siebie: teraz sprawa się rozstrzygnie! Istotnie konduktor poznał wreszcie w owym panu murzyna i pozostawił go w tymże przedziale. Powinszowałem sobie, że rasie naszej udało się nie stracić członka.

Według owego doświadczenia można ocenić dobre wychowanie człowieka najlepiej, obserwując jego zachowanie się wobec rasy mniej uprzywilejowanej. Najwięcej miałem sposobności do zbierania wzorów, widząc, jak postępowali starzy dżentelmeni Południa z dawnymi swymi niewolnikami lub ich dziećmi.

Dziwiono się raz Jerzemu Washington, że odklonił się murzynowi, uchylając kapelusza; on na zaś to odrzekł: „Czy ciemny, nieszczęśliwy murzyn miałby być grzeczniejszym ode mnie?“ W czasie, kiedy opiekowałem się Indianami w Hampton zdarzyły mi się dwa wypadki, dosadnie ilustrujące kastowość amerykańską. Jeden z moich uczniów zachorował i trzeba go było zawieźć do Waszyngtonu, oraz wyrobić u sekretarza spraw we-





wewnętrznych świadectwo na powrót jego do ojczyzny zachodniej. Byłem jeszcze nieświadomy rządzących zasad. W drodze, będąc na parowcu, na odgłos dzwonka, udałem się w towarzystwie swego ucznia na obiad, czekając jednak skromnie u wejścia póki inni podróżni nie zjedli. Kelner oświadczył mi w grzecznych słowach, że Indianinowi obiad poda, mnie zaś nie. Trudno pojąć, w jaki sposób uczynił on między nami linię demarkacyjną, albowiem barwa skóry naszej była nieomal jednakowa. Był to mistrz pod względem rozróżnień. Władze w Hampton poleciły mi hotel w Waszyngtonie, ale, zajechawszy tam, usłyszałem znów od szwajcara wyrok, że o ile chętnie przyjmie Indianina, o tyle dla mnie miejsca w jego hotelu niema.

Coś podobnego zdarzyło mi się jeszcze raz w późniejszym czasie. Było to w mieście obcym, dokąd zajechałem po raz pierwszy. Miasto znajdowało się w nieopisanym wzburzeniu, gotowe do lynchu. Powodem tej zaciekłości było przyjęcie w pewnym hotelu gościa murzyna. Śledztwo jednak wykazało, że był to jakiś obywatel marokański, który umiał mówić po angielsku i w drodze posiłkował się tym językiem. Natychmiast po wyjaśnieniu nieporozumienia gniew mieszkańców gdzieś pierzchł, ale przybysz uznał za właściwe przestać mówić po angielsku.

Jakby przez opatrność zesłana mi została jeszcze w Hampton sposobność przygotowania się do dzieła mego życia, rozpoczętego w Tuskegee. Jenerał Armstrong, widząc że pomiędzy kandydatami do zakładu jego znajduje się spora garstka bardzo poważnych aspi-

rantów, którym tylko bieda stała na przeszkodzie do wstąpienia, powziął myśl urządzenia szkoły wieczornej. Naukę odrabiało się dzienną pracą, której owoce starczyły nadto na kupno książek i opłatę internatu. Mężczyźni zajmowali się przy tartaku, budowlach, kobiety prały, prasowały. Mnie powierzono obowiązek uczenia tych kilkunastu uczniów. Zadanie nie było łatwe do spełnienia, ale pilność, powaga i skupienie mych uczniów, których tylko ostatni dzwonek zdolny był od nauki oderwać, sprawiały mi niewysłowioną przyjemność. Nazwałem tę klasę „klasą zuchów“, i nazwa ta stała się wkrótce tak popularną, że świadectwo moje ze wzmianką o zadowalającym skończeniu kursu w „klasie zuchów“ zdobyło sobie wysoką wśród publiczności wartość. Z każdą chwilą jednak liczba uczniów wzrastała, wydając ludzi dzielnych i pożytecznych na każdym stanowisku.



## ROZDZIAŁ VII.

### Dzieło mego życia. Tuskegee.

W maju 1881 r. generał Armstrong oznajmił mi, że odebrał list od kilku obywateli z Alabamy z prośbą o wskazanie im kogoś, któryby był w stanie kierować normalną szkołą dla murzynów w miasteczku Tuskegee, w stanie Alabama. Nie przypuszczając możliwości istnienia murzyna odpowiedniego na to stanowisko, prosili o białego. Generał zapytał, czy czuję się na siłach przyjąć ten obowiązek na siebie. Odebrawszy zapewnienie o mych najlepszych chęciach, odpisał, że nie zna białego nauczyciela, ale jeśli chcą przyjąć murzyna, to może im wskazać kogoś, za którego ręczy swoją osobą, przymytem wymienił moje nazwisko.

Potwierdzająca odpowiedź nadeszła drogą telegraficzną; wszyscy mi zaczęli winszować. Zabrałem się do przygotowań podróży i, nie tracąc czasu, odjechałem.

Tuskegee była to miejscina o dwóch tysiącach mieszkańców, z których połowa murzynów, leżąca w pasie zwanym „czarnym pasem Południa“. W okolicy stosunek murzynów do białych stanowił 6 : 1.

„Czarny pas“ dawniej określał raczej glebę tłustą i wydajną, ale że do jej obrabiania potrzeba było niewolników więcej niż gdzieindziej, z czasem przybrał znaczenie etnologiczne, które się utrzymało.

Zdawało mi się, że na miejscu zastanę budynek i pomoce naukowe w pogotowiu, oczekujące mego przybycia. Ku wielkiemu rozczarowaniu memu tak nie było. Żadnego gmachu, żadnych środków naukowych—tylko setki spragnionych dusz, łaknących wiedzy.

Położenie miasta, centralne i zarazem odosobnione, przedstawiało dogodności wielkie, zwłaszcza że już oddawna posiadało Tuskegee szkoły różne dla białych. Znalazłem tedy ludność tej ostatniej rasy na stopniu kultury przewyższającym wiele innych miast tej wielkości. Murzyni, aczkolwiek ciemni i ubodzy, nie byli jednak znikczemni fizycznie i moralnie, jak ich bracia w większych miastach. Stosunki między rasami były przychylne. Jedyń w mieście sklep towarów żelaznych był prowadzony np. wspólnie przez białego i murzyna, i spółka ta trwała aż do śmierci białego.

Posłyszawszy coś niecoś o Hampton, murzyni z Tuskegee wnieśli petycję o zapomogę dla szkoły normalnej, otworzyć się mającej. Rząd wyznaczył fundusz 2000 dolarów na nauczycieli, ale cóż z tego, kiedy nie było gruntu, gmachu, ani pieniędzy. Przyszłość nie uśmiechała się do mnie. Trzeba było bicz kręcić z piasku. Murzyni otaczali mnie, pełni radosnego oczekiwania, gotowi do wszelkiej pomocy.

Przedewszystkim trzeba było obmyśleć miejsce dla szkoły. Rozejrzawszy się uważnie po mieście, zde-



cydowałem się na szopę dość zaniedbaną, stojącą w pobliżu kościołka metodystów murzyńskich, który mógł w razie potrzeby służyć za salę zebrań. Ale stan tych budynków był opłakany do tego stopnia, że w pierwszych miesiącach moich wykładów, podczas deszczu, jeden z uczniów zawsze stawał z rozpiętym deszczochronem nade mną. Niejednokrotnie też gospodyni moja trzymała parasol, pókim nie zjadł obiadu.

Ludność cała przejmowała się ogromnie polityką i ode mnie wymagali podobnegoż zapалу. Śledzono moje polityczne poglądy, i raz, pamiętam, murzyn jeden rzekł mi: „musi pan głosować tak samo, jak my. Mało czytamy gazet, ale wiemy jak trzeba robić. Uważamy tylko, jak głośnie białe człowiek, a kiedy on idzie na prawo, to my wiemy już, że nam wypada w lewo“.

Obecnie zapatrywanie ich wielce się zmieniło i rasa nauczyła się wnikać w potrzeby własne, nie zaś sprzeciwiać się tylko dążeniom białych.

W początkach jeździłem po całej okolicy, zapowiadając otwarcie wykładów, zapoznając się z życiem i mieszkańcami. Nocowałem i jadałem wśród ludu. Poznałem ich gospodarstwo, kościoły, sposób życia. Ponieważ przybywałem niespodziewanie, miałem sposobność stykać się z codzienną rzeczywistością.

W okręgach poplantacyjnych rodzina bez wyjątku zajmowała jedną izbę, nie licząc żyjących przy niej czasami krewnych bliższych lub dalszych. Chcąc się położyć, zazwyczaj czekałem na dworze, póki się wszyscy nie pomieszczą, poczym kładłem się na umyślnie dla mnie przygotowanym łożu. Na jakąś kąpiel, a bodaj

nawet umycie twarzy i rąk nie było kąta w samym mieszkaniu, lecz gdzieś w podwórzu.

Pożywieniem pospolitym był chleb żytni i wieprzowina. Często zadowalano się samym chlebem i „czarnooką fasolą“, gotowaną na czystej wodzie. Ludzie nie mieli nawet wyobrażenia o innej strawie, chociaż grunta okoliczne podatne były pod uprawę każdej jarzyny; jednak i to mięso i tę mąkę żytnią kupowali za drogie pieniądze w sklepach sąsiednich miasteczek. Tylko plantacja bawełny prowadzona była wciąż, sięgając nieraz do drzwi mieszkania.

Tutaj zdarzało mi się widzieć kosztowne maszyny do szycia, zbyt kosztowne zegary ściennie. Raz zasiadłem do obiadu w gronie pięciu członków rodziny, a na stole znajdował się jeden jedyny widelec. Zakłopotany rozglądałem się i na przeciwległej ścianie ujrzałem organy, za sześćdziesiąt dolarów co najmniej. Jeden widelec i organy za sześćdziesiąt dolarów—ale prawda, brano te przedmioty na rozpłaty!

W większości wypadków maszyny nie szły, zegary nie szły akuratnie, (wreszcie, kto się tam znał na zegarze) na organach zaś nikt grać nie potrafił.

Wogóle zauważyłem, że cała ceremonia zasiadania do stołu odbywała się na moją cześć wyłącznie, i nikt sobie w tym położeniu radzić nie umiał. Rano, na przykład, gospodyni zazwyczaj kładła kawałek mięsa w tygielek i bryłkę ciasta w saganek. Po kilkunastu minutach najpierw pan domu, po nim zaś inni urywali sobie po kęsie tego jadła, i trzymając w garści, spożywali „śniadanie“, stojąc lub wychodząc w pole. Mięsa nie było



na przednówku. Po śniadaniu, nie oglądając się na potrzeby gospodarstwa, cała rodzina udawała się na pole bawełniane. Najmniejszy dzieciak, zdolny do udźwignięcia motyki, szedł do pracy, niemowlęta leżały po rowach, każde w pobliżu zagonu swej matki, która takim sposobem od czasu do czasu niemi się zająć mogła.

Tak schodził tydzień cały. W sobotę rodzina, za rzadkim wyjątkiem niektórych członków chorych, udawała się do miasteczka na cały dzień, niby to za sprawunkami, ale, właściwie mówiąc, sprawunki owe mogły być załatwione w ciągu kwadransa przez jedną osobę. Gapiąc się po ulicach, siedząc w jakiejś knajpie przy luzie, bałamucono do wieczora.

Niedziele zazwyczaj spędzano na walnym mityngu.

Zbiór bawełny najczęściej był zastawiony, sprzedany na pniu, a czarni rolnicy w długach po uszy. Szkółki, dla braku funduszu na budowę, mieściły się w kościołach i barakach. Nigdzie nie zauważyłem, żeby przygotowano zapas opału na zimę, nawet pieców nie było; podczas mrozów zapalano ognisko na podwórzu i zarówno nauczyciel, jak i uczniowie, kolejno, w miarę potrzeby wychodzili ogrzać się. Moralny poziom nauczycieli był niski, szkoły przez pół roku pozamykane. Prócz tablic, żadnych innych przyrządów szkolnych nie widziałem. Wchodząc raz do szkoły, byłem świadkiem następującego obrazu: pięciu uczniów uczyło się z jednej książki. Na ławce siedziało dwóch, trzymając między sobą książkę na kolanach. Za ich plecami dwóch innych czytało z tej samej książki, a z tyłu piąte maleństwo,

wspinając się na palcach, usiłowało z poza czterech pleców także coś dojrzeć.

I parę interesujących charakterów poznałem w podróży. Odpowiedź jednego ze starych murzynów na moje zapytanie co do jego przeszłości, jest dość charakterystyczna, aby ją przytoczyć. Opowiedziawszy mi, że został sprzedany do Alabamy w r. 1845, dodał objaśniająco: „Było nas pięcioro, brat mój, ja i trzy muły“.



## ROZDZIAŁ VIII.

### Lekcje w stajni i kurniku.

Z ciężkim sercem powróciłem ze swego objazdu. Wniesienie oświaty tutaj wydało mi się zadaniem nad siły. Będąc sam jeden, ileż byłem w stanie uczynić dobrego? Czułem wszelako, że w każdym razie należy coś więcej uczynić dla tego ciemnego tłumu, aniżeli naśladować istniejące dotychczas w Nowej Anglii instytucje. Lepiej, niż kiedykolwiek, oceniałem mądrość systemu, wprowadzonego w Hampton przez gien. Armstronga. Ze środowiska takiego, jakie badałem przez ciąg miesiąca, zabierać dzieci na kilka godzin książkowej nauki dziennie było po prostu stratą czasu.

Po naradzie z obywatelami Tuskegee oznaczyliśmy dzień otwarcia szkoły w szopie i kościele na 4 lipca 1881 r. Oczekiwali go czarni i biali z równym natchnieniem. Ci ostatni mieli pewne obawy co do przyszłej wartości ekonomicznej murzynów edukowanych, przewidując, że wykształcenie odbierze im chęć do zajmowania się rolą albo domową służbą. W oczach stał im obraz murzyna z tak zwaną cywilizacją, w cylindrze, złotych okularach, z laską bambusową, w żółtych rękaw-

wiczkach, lakierkach, słowem faceta—rycerza przemysłu. Po prostu pojąć nie mogli, żeby wychowanie mogło do innego doprowadzić rezultatu.

W ciągu dziewiętnastoletniej swej pedagogicznej działalności w Tuskegee miałem dwóch przyjaciół, wspierających mnie stale radą, pomocą, i im niejedno zawdzięczam. Pierwszym był biały, ex-właściciel niewolników, p. Campbell, drugim—murzyn, były niewolnik, p. Adams. Oni to zwrócili się do gien. Armstronga z prośbą o kierownika. Pan Campbell jest bankierem i mało posiada doświadczenia w sprawach wychowania, p. Adams zaś, jako mechanik, szewc, siodlarz i blacharz, umiając zaledwie czytać i pisać, naturalnie także szkoły w życiu swym nie widział. Ale obaj pojęli cele moje i spółczuli im. W najsmutniejszych materialnych chwilach p. Campbell okazał się podporą, i każdy po swojemu, już to czynem, już to słowem przyłożyli się do dzieła rozwoju murzynów w Tuskegee.

Na początek przyjęliśmy trzydziestu uczniów obojga płci. Kandydatów było nierównie więcej, ale postanowiliśmy pozwolić wstąpić tylko starszym nad lat piętnaście i cokolwiek z nauką obeznanym. Większa część owych trzydziestu byli to nauczyciele do lat czterdziestu wieku. Przybyli w towarzystwie swych uczniów, a podczas egzaminów zabawne było, że uczniowie często więcej umieli od swych profesorów i tym samym znaleźli się w wyższej klasie. Również ciekawym było, z jakich olbrzymich ksiąg niektórzy studjowali i o jakich gałęziach nauki prawili. Im grubsza książka, im bardziej zawikłana nazwa nauki, tym byli dumniejsi ze swego wy-



kształcenia. Byli i tacy, co znali nieco łaciny lub greckiego. To im nadawało prawo, według ich zdania, do najwyższych wyróżnień.

Jednego z najsmutniejszych wrażeń doznałem w podróży, widząc chłopca młodego w zatłuszczonym ubraniu, w chałupie pełnej śmieci, około zachwaszczonego ogródka nad... francuską gramatyką.

Nasi pierwsi uczniowie mieli głowę pełną prawideł gramatycznych i formułek z matematyki, ale mało mieli wyobrażenia, jak swą wiedzę zastosować do codziennych spraw życia. Ogromnie lubili przechwalać się swoją umiejętnością „liczb wielorakich“ na papierze, ale wkrótce przekonałem się, że wiadomości ich były tylko teoretyczne.

Tym niemniej przyznać należy, że z wielką powagą zabrali się do pracy podług naszych poglądów, z chwilą gdy się z nimi zapoznali. Pragnąłem im dać podstawy gruntowne i wyrobić samodzielność myśli w dziedzinie przedmiotów wykładanych. Każdy potrafił na mapie wskazać pustynię Sahara, nikt nie umiał znaleźć właściwego miejsca dla noży i widelcy na stole. Z trudnością przychodziło mi nakłonić ucznia, który przechodził „regułę trzech“, aby się wprzód dobrze nauczył tabliczki mnożenia.

W końcu miesiąca liczba uczniów naszych wzrosła do pięćdziesięciu. Wtedy to nowa, niepospolita postać zajaśniała na naszym widnokręgu. Była to nauczycielka Miss Olivia Davidson z Ohio. Jeszcze będąc małą dziewczynką, posłyszła o potrzebie sił pedagogicznych na Południu i, wykształciwszy się odpowiednio, jak najrych-

chlej do pracy się zabrała. Pełna miłości dla swego zawodu i uczniów, wszędzie, gdzie była, zdobywała miłość. W Stanie Mississipi silna ospa pomiędzy uczniami wywołała taką panikę, że ona sama jedna pielęgnowała ich dniem i nocą. Podczas wakacji swych w Ohio musiała walczyć z żółtą febrą, sama nawet szukała sposobności ratowania chorych i telegraficznie swe usługi ofiarowywała, posłyszawszy o jakiejś epidemii.

Jasność cery Miss Olivii nie pozwalała domyślać się jej pochodzenia z rasy murzyńskiej, lecz pod żadnym warunkiem nie chciała się zgodzić na wprowadzenie kogokolwiek w błąd, i sama stale nazywała się murzynką.

Do szkoły naszej wniosła oprócz wielu świeżych i znakomych pomysłów charakter rzadkiej moralności i wcieloną abnegację. Zaczęły się tedy wspólne narady nad przyszłością Tuskegee. Uczniowie robili postępy, ale odrazu widocznym było dla nas, że trzeba koniecznie coś uczynić poza nauką książkową.

Przybywszy z domów, gdzie im nikt nigdy żadnych wskazówek nie mógł udzielić, zamieszkawszy w Tuskegee w stanczykach wśród warunków higienicznych, nie przestawali być zwierzątkami. Chcieliśmy im pokazać, co znaczy kąpiel, co pielęgnowanie ciała, co ruch, czystość, powietrze. Chcieliśmy im pokazać, co i jak jeść potrzeba, jak porządek utrzymywać około siebie, w odzieży i mieszkaniu. Nadto zapragnęliśmy dać im praktyczną znajomość jakiegoś rzemiosła, przejąć ich duchem potrzeby pracy fizycznej, ogłędnością, nauczyć ich oszczędzać środki i rozumnie rozporządzać niemi.



tak, ażeby wiedzieli, jak urządzić sobie życie po wyjściu ze szkoły. Pragnęliśmy, aby umieli patrzeć na życie aktualne i jego przejawy nie przez pryzmat doktryny, ale zdrowym i własnym okiem.

Większość (85%) przybywała z okolic, gdzie ziemia stanowiła jedyne źródło dochodu. Wskutek tego należało nie przerywać nici sympatii, łączącej ich z rolnictwem, nie pobudzać chęci przeniesienia się do wielkich centrów, gdzie ludzie żyją niewiadomo z czego, ale przeciwnie racjonalnym wychowaniem wzmocnić ich znajomość rzeczy, ażeby mogli za powrotem do domu świeżą energią i ożywczymi pomysłami oraz miłością do zawodu rolnego zasilić swą ziemię nowymi sokami i pełniejsze, bogatsze, uświadomione rozbudzić życie wśród swoich.

Wszystkie te widoki przygniatały nas swym ogromem. Rozporządzaliśmy tylko zapadłą szopą i kościołem opustoszałym, które zawdzięczaliśmy pocziwym mieszkańcom. Jak łatwo poznać było z mowy i całego wzięcia się do rzeczy naszych uczniów oraz ich opiekunów, głównym celem ich pracy nad nauką było oddalenie się od zajęć fizycznych, pracy rąk, i co za tym szło według ich przekonania — wzniesienie się tym sposobem na wyższy szczebel społeczny.

W jakie trzy miesiące po otwarciu szkoły wystawiono na publiczną sprzedaż jakąś opustoszałą plantację, leżącą nieopodal miasta. Po obejrzeniu miejscowości i budynków doszliśmy do przekonania, że to właśnie nam się na szkołę przydać mogło. Ale jakim sposobem nabyć ten kawałek ziemi? Nie kosztował wiele — oko-

ło pięciuset dolarów — ale skąd je wziąć? Byliśmy obcy bez kapitału i kredytu. Za opłatą połowy szacunku, właściciel byłby nam pozwolił wejść w posiadanie osady natychmiast z warunkiem spłacenia reszty w ciągu roku.

Zebrałem całą swą odwagę i w liście do kasjera szkoły w Hampton, Marshalla, wypowiedziawszy z całą otwartością o co rzecz idzie, wystąpiłem z gorącą prośbą o pożyczanie mi dwuchset pięćdziesięciu dolarów na moją osobistą odpowiedzialność.

W kilka dni odebrałem odpowiedź, iż p. Marshall nie ma prawa udzielania pożyczek z funduszy szkoły Hampton, ale że gotów jest z własnej kieszeni żadaną sumę mi pożyczyć. Wiadomość ta wprawiła mnie w radość i dumę, chociaż zarazem wywołała poczucie cięższej odpowiedzialności, nieznane mi dotychczas. Nie tracąc czasu, objęliśmy w posiadanie terytorjum, zużytkowując na szkołę jakiś kurnik, jakąś kuchnię, jakąś oborę, dokonawszy przedtem najkonieczniejszych reparacji. Robotą tą zajęli się uczniowie po wykładach. Jednocześnie przygotowaliśmy pod uprawę kilkanaście zagonów, obsadziliśmy je i obsiali. Prawdziwego zrozumienia i przejęcia się jeszcze nie było wśród uczniów, którym trudno było wszczepić pojęcie o związku między orką a wykształceniem. Wielu z nich lękało się, czy godność ich nie ucierpi na tym zajęciu. Celem zakończenia ich wątpliwości brałem codzień po południu siekiere i szliśmy karczować las razem. Przykład mój podziałał cudownie. Wkrótce mieliśmy dwadzieścia akrów łąnu uprawionego.



Tymczasem miss Davidson myślała o spłacie długu. Zajął się przede wszystkim urządzeniem biesiad, zebrań wieczornych. Odwiedzając osobiście białych i czarnych mieszkańców Tuskegee, otrzymywała od nich dary w naturze, jak np.: ciasta, rozmaite pieczyście, chleb, jarzyny; ofiary płynęły obficie i chętnie, na ucztach zazwyczaj sprzedawało się wszystko, i w taki sposób zbierał się fundusik. Pojawiły się też zasiłki pieniężne większe drobne. Starzy murzyni znosili co mogli, i w pamięci mi zostanie nędzna staruszka, która o kiju przywlokła się któregoś dnia, przynosząc w kobiałce sześć jaj „Niech pan i moją ofiarę przyjmie dla chłopców i dziewczyn, dobrze?”—rzekła. Wiele mi różnych darów składało, ale żaden nie wzruszył mnie tak głęboko, jak owe sześć jaj od starowinki.

## ROZDZIAŁ IX.

### Dni trwogi i bezsenne noce.

Zbliżające się Boże Narodzenie pozwoliło nam wnikać jeszcze bardziej w życie ludu Alabamy. Zwiastunami świąt były dzieci, które gromadami przybiegały przed szkołę, wołając: „kolenda, kolenda“! Nad ranem z jakie pięćdziesiąt razy obily się o nasze uszy te wołania.

Było zwyczajem za czasów niewolnictwa we wszystkich południowych Stanach dawać murzynom tydzień świąt na Boże Narodzenie; trwały one, póki drzewo \*) trwało. Starsi zazwyczaj upijali się i, począwszy od wilji aż po nowy rok, nie tykali żadnej roboty. Wszędzie rozlegały się hałasy, śpiewy, nadużycie fuzji, prochu i pistoletów. Żadnego śladu powagi z racji uroczystości święta. W czasie tych pierwszych wakacji wyjeżdżałem w okolice Tuskegee. Wzruszającym było widzieć, w jak skromny sposób ludzie ci usiłowali osiąść złudzenie święta. W jednym domu prócz kilku kapiszonów, ofiarowanych

\*) yule log= nasza choinka.



pięciorgu dzieciom, innych oznak uroczystości nie było. Gdzieindziej liczna rodzina dzieliła się małą paczką pierników kupionych dnia poprzedniego w miasteczku. W jakiejś chałupce świąteczną uroczystość symbolizowało parę lasek cukrowych, w innym miejscu butelka gorzałki pocieszała frasunek gospodarzy. Jedni zabawiali się jaskrawymi afiszami, inni nabijali tandecką fuzję. Przeważnie jednak próżnowanie znamionowało święto, ku wieczorowi zaś tańce rozweselały mieszkańców. Nieraz bijatyka i strzelanina kończyły zabawę.

Na jednej z takich wizyt stary murzyn, kaznodzieja, usiłował dowieść mi, że od czasów Adama i Ewy i wygnania ich z raju Bóg wszelką pracę przeklął i stała się ona grzechem. Dla tego człowiek powinien pracować jak najmniej. Kaznodzieja ów w tym jednym tygodniu czuł się istotnie szczęśliwym, albowiem, nie pracując, czuł się bez grzechu.

Wzięliśmy sobie za zadanie objaśnić uczniom naszym znaczenie świąt Bożego Narodzenia oraz właściwy ich obchód, podkreślając specjalny charakter altruistyczny, jaki ta uroczystość posiada w cywilizowanych społeczeństwach. Wszyscy uczniowie nasi obecnie prześcigają się w obmyśleniu jakiejś uciechy, ulgi, niespodzianki dla nieszczęśliwych. Niedawno święta zeszły pewnej garstce naszych wychowalców na odbudowaniu chaty dla siedmdziesięcioletniej staruszki—murzynki. Innym razem znów zaopatrzono w odzież kolegę ubogiego.

Pomiędzy białymi mieszkańcami Tuskegee i okolic wyrodziło się spółczucie dla szkoły; nie była ona

czymś obcym, obojętnym wśród nich, przeciwnie poczuli się do odpowiedzialności, przyczyniając się niejednokrotnie do wydatków, i dziś szkoła do najprzychylniejszych swych protektorów zalicza białych ze stanu Alabamy i całego Południa. Zaczęło się od tego, że usilnie zalecał swoim, aby z każdym sąsiadem starali się żyć w zgodzie, ustępować wedle możliwości i uwzględniać nie tylko widoki osobistej wygody, ale wspólnej sąsiedzkiej.

Nieustannymi staraniami i krztałaniem się około sprawy udało nam się spłacić dług pięciuset dolarów, zdobywając wzamian urzędowy tytuł własności na sto akrów.

Teraz zabraliśmy się na dobre do eksploatacji ziemi, aby osiągnąć korzyść podwójną: materjalną i wychowawczą przez zaprawianie młodzieży do tej najszlachetniejszej z prac. Wszystkie rzemiosła, każdy przemysł w Tuskegee rozwijały się w naturalnym porządku, a mianowicie w miarę potrzeb naszej instytucji. Zaczęliśmy od uprawy ziemi, gdyż nam przedewszystkim trzeba było żywności. Pierwszym bydłem domowym, na jakie zdobyliśmy się, była stara, ślepa szkapa, dar białego obywatela z Tuskegee. Obecnie posiadamy przeszło dwieście koni, źrebiąt, mułów, krów, cieląt i wołów, około siedmiuset wieprzów i prosiąt oraz mnóstwo owiec i kóz.

Obrastając powoli w pierze, pomyśleliśmy o zbudowaniu porządnego gmachu szkolnego. Po wielu namysłach nakreśliliśmy plan budynku o kosztorysie sześciu tysięcy dolarów. Suma ta wydała nam się olbrzy-



nią, ale cóż, niepodobna się było cofać, przeciwnie dążyliśmy naprzód całą siłą pary; zresztą czułem, że póty władza nad uczniami jest niezupełna, póki nie możemy czuć nad ich domowym życiem.

Okoliczność jedna sprawiła mi wielką i przyjemną niespodziankę. Oto, jeden z białych naszych sąsiadów, właściciel tartaku, dowiedziawszy się o naszych zamiarach i związanych z niemi kłopotach, zjawił się u nas i wyraził gotowość dostarczenia bezpłatnie wszystkiego drzewa do budowy, nie żądając wzamian żadnej innej gwarancji prócz zapewnienia, że jak tylko środki pozwolą, zapłacimy mu należność. Pomimo, że mu obywatelowi otwarcie wyznał, iż jeszcze ani dolara na ten cel nie posiadam, nie tylko się nie cofnął, ale nalegał, by pozwolić położyć fundament szkoły. Ustąpiliśmy jego woli dopiero po zebraniu pewnej sumy na budowę.

Mis Davidson znowu po swojemu wzięła się do zbierania funduszu w rozmaitej postaci. Nadzieja posiadania wspaniałego gmachu przepełniała murzynów Tuskegee dumą i radością. Razu pewnego, kiedyśmy się naradzali nad szczegółami naszego planu, stary murzyn zajechał na podwórze wozem, ciągnionym przez wołu, i wyładowawszy potężnego wieprza, przedstawił go nam z temi słowy: „Nie mam pieniędzy, moi panowie, ale wykarmiłem tego oto jegomości i w domu mam jeszcze jednego dla was; każdy murzyn, który kocha swoich, powinien miarkę swą przyrzucić do ogólnych ofiar“. Inni także znosili, co się dało, lub pracowali darmo po parę dni przy budowie. Wyzyskawszy Tuskegee, miss

Davidson powędrował a na Północ, aby tam starać się o zasiłki. Odwiedzając bogaczy, mówiąc w tej sprawie po różnych kościołach i organizując odczyty, doznawała wprawdzie przykrości, przeszkód, ale w końcu zdobywała sobie zaufanie. Pierwszą daninę złożyła jej jakaś towarzyszka podróży. Zaczęło się od rozmowy, i dama z Północy tak się zainteresowała zabiegami miss Davidson, iż przed rozstaniem ofiarowała jej czek na pięćdziesiąt dolarów. Korespondencją także zjednywała sobie miss Davidson protektorów, coraz to jednak wracała do zajęć, nie chcąc zaniedbywać uczniów szkoły codziennej a także niedzielnej, którą w Tuskegee otworzyła. Nie będąc zbyt silnego zdrowia, nie szanowała się zgoła, poświęcała każdą myśl, każdą chwilę jednemu celowi życia. Nieraz, wyczerpawszy się bieganiem i lekcjami, padała znużona za powrotem do domu, zbyt osłabiona, aby się rozebrać. Jedna z pań bostońskich opowiadała mi, że, otrzymawszy kartę miss Davidson, nie mogła jej natychmiast przyjąć z powodu gości; kiedy po chwili weszła do pokoju, zastała biedną murzynkę śpiącą z nadmiaru znużenia.

Miewaliśmy chwile bardzo krytyczne pod względem materialnym podczas wykonywania naszego zuchwałego przedsięwzięcia. Często w sam dzień terminu jakiegoś zobowiązania nie było dolara. Raz wyratowała mnie ze strasznego ambarasu poczta, przywożąc czek od miss Davidson na koniecznie potrzebne czterysta dolarów. Sumę tę ofiarowały dwie damy bostońskie. W dwa lata później, kiedy w miarę wzrostu naszych instytucji i potrzeby się wzmagaly olbrzymio, te same



dwie panie nadesłały sześć tysięcy dolarów w chwili, gdy przyszłość przedstawiała się nam ponuro i byliśmy pogrążeni w zwątpieniu. Słowa nie opiszą zdumienia, jakie nas ogarnęło i otuchy, która nas ożywiła na nowo. Muszę tu zaznaczyć, że te same panie w ciągu lat czterestu obdarzały nas odtąd corocznie taką sumą.

Jak tylko zatym plany były wykończone, uczniowie zabrali się do kopania dołu na fundamenty, pracując w godzinach pozawykładowych. W niektórych jeszcze tkwiły resztki niechęci, którą manifestowali w słowach: „przybyliśmy tu, aby się uczyć, nie zaś ciężko pracować”. Powoli jednak nastrój zmieniał się na korzyść i wkrótce nastąpiła chwila uroczysta położenia kamienia węgielnego.

Zważywszy, że fakt ten odbył się w samym środku „Czarnego pasa” i to zaledwo w szesnastcie lat po zniesieniu niewolnictwa, to jest po epoce, w której najelementarniejsza wskazówka naukowa, udzielona murzynowi, wzniewała oburzenie ogólne i karana była sądownie—trzeba mu było przyznać znaczenie wyjątkowe. Pamiętny był ten dzień wiosenny w Tuskegee.

Mowę wypowiedział superintendent oświaty Stanów Południowych wobec zgromadzonych nauczycieli, uczniów, ich krewnych oraz przyjaciół, urzędników miejscowych, białych, ma się rozumieć, i wielu białych obywateli. Każdy umieścił pod kamieniem jakąś pamiątkę.

Zanim gmach był gotów, niejedną przeżyłem czarną chwilę, nieraz serce mi się krwawiło. Kto zna położenie ludzi, przeprowadzających przedsięwzięcia spo-

łeczne bez kapitału, potrafi ocenić i pojąć przeciwności, z jakimi borykać się musiałem. Nocami przewracałem się i dręczyłem na swym łóżku, medytując nad kłopotami dnia następnego. Czułem, że powodzenie moje stanowić będzie ważny przyczynek do wykazania, czy murzyni wogóle posiadają zdolność administracyjną i wytrwałość w dążeniu do wyższych celów. Mój upadek byłby klęską dla całej rasy, zwłaszcza wobec panujących uprzedzeń. Każdy podobny do mojego krok u białych byłby powitany zachętą i popierany gorąco, gdy tymczasem my zawdzięczaliśmy zasiłki swe wyjątkowym jednostkom i drobniutkim ofiarom murzynów. Nic dziwnego, że przygniatało mnie często brzemie tyśiącofuntowe.

Nie byłbym doprowadził sprawy do końca, gdyby nie dobroć i zaufanie ludzi, do których się zwracałem.

W jednej z najbardziej beznadziejnych sytuacji generał Armstrong, znający dokładnie stan rzeczy, wydał mi czek na cały swój osobisty majątek.

W lecie 1882 r. zaślubiłem Miss Fannie Smith z Zachodniej Wirginji. Prowadząc dom familijny, utworzyłem ognisko, gdzie zbierali się nauczyciele i protektorzy szkoły. Żona moja także była instytucją z Hampton. Od pierwszej chwili dzieliła ze mną troski i nadzieje, lecz na nieszczęście zgasła, nie doczekawszy się rozkwitu naszej szkoły.



## ROZDZIAŁ X.

### Trudniejsze zadanie niż ukręcenie bicia z piasku.

Pragnąłem, żeby uczniowie zajmowali się nie tylko rolą i domową robotą, ale żeby sobie własne zbudowali mieszkania. Przy tej sposobności pragnąłem zastosować najlepsze i najnowsze metody pracy. Pragnąłem, aby nie samą korzyść i wygodę mieli na względzie, aby w nich zrodziło się zamiłowanie piękna i godności. Nie chciałem, żeby praca dla nich miała znaczenie harowania i męki, ale żeby sama w sobie zadowolenie rodziła. Nadto chciałem dać im do pomocy parę, elektryczność, wodę i powietrze.

Miałem wielu przeciwników, którzy utrzymywali, że robota fachowców będzie nieskończenie lepsza, ale, według mnie, zadanie cywilizacyjne, pedagogiczne opiera się na wzbudzeniu w osobniku energii i samodzielnej pomysłowości, i że tylko wtedy uczniowie pokochają swe mieszkania, jeśli każdy szczegół zawdzięczać będą sobie i swojej pracy wykonanej „con amore“, nie zaś rzemieślniczo, obojętnie.

Poza tym nagłe przeniesienie z pierwotnych chałup domowych do komfortu nie mogło być tak rozwijające, jak stopniowe dążenie do wydoskonalenia własną ręką siedzib własnych. Nawet błędy popełnione mogły tu w postaci nauk na przyszłość wywierać wpływ zawienny.

Od tego czasu postawiliśmy czterdzieści większych i mniejszych budynków, posiłkując się wyłącznie pracą uczniów. Setki więc ludzi, rozproszonych po okolicach Południa, wyniosło z naszej szkoły, oprócz wiadomości szkolnych, w dodatku faktyczną znajomość mechaniki, budownictwa i innych profesji. W taki sposób zręczność i wprawa przenoszą się od starszych do młodszych uczniów, i dziś najbardziej skomplikowany dom może stanąć według wskazówek miejscowych, zaczawszy od narysowania planu a skończywszy na wprowadzeniu elektryczności, bez uciekania się do pomocy robotników. System ten stał się już niewzruszoną tradycją.

Ileż razy, na widok nowego uczniaka, niszczącego ściany lub stoły scyzorykiem czy ołówkiem, można słyszeć uwagę kolegi starszego: „Nie psuj murów! Nie niszcz stołów! To nasza robota. Ja nad tym pracowałem“.

Przypominam sobie, że najwięcej trudności sprawiało nam przygotowywanie cegły. Pomijając już jej pożyteczność dla nas samych, cegła była bardzo pożądanym artykułem w całej okolicy, gdzie żadnej cegielni nie było. Podziwiałem zawsze umiejętność dzieci Izraela, którzy potrafią robić „cegłę bez słomy“; nasze zadanie było



wszelako jeszcze trudniejsze, gdyż trzeba było robić cegłę bez pieniędzy i doświadczenia.

Początki były żmudne i trudne, a niechęć uczniów wielka. Kontrast między nauką a robieniem cegły przedstawiał im się zbyt jaskrawo. Istotnie trudno było nazwać przyjemnością pozostawanie godzinami w dole napelnionym gliną, mając jej po kolana. Niejeden zniechęcony opuszczał szkołę.

Ale odrazu udało nam się znaleźć ziemię odpowiednią. Sam przyznać muszę, że wyrób cegły wydawał mi się na pozór o wiele łatwiejszy, niż czas i gorzkie doświadczenia, zwłaszcza przy wypalaniu, pokazały. Po wielkich wysiłkach ulepiliśmy około dwudziestu pięciu tysięcy cegieł i umieściliśmy je w piecu dla wypalenia. Tymczasem piec wadliwie był postawiony, i robota się zmarnowała. Niepowodzenie to jeszcze bardziej zniechęciło uczniów i odmówili spółudziału w dalszych próbach. Dopiero gdy kilku nauczycieli, wychowawców Hampton, ofiarowało nam swe usługi, postawiliśmy piec jak się należy i po upływie tygodnia mieliśmy nadzieję skończyć z tą robotą, lecz zanim termin upłynął, piec zapadł się pewnej nocy. Po tym nowym ciosie zostałem bez dolara na dalsze eksperymenty. Nauczyciele sami odradzali nowe próby. Z tego kłopotu wyciągnął mnie stary zegarek, o którego istnieniu sobie naraz przypomniałem. Zabrawszy go do miasteczka Montgomery, zastawiłem za piętnaście dolarów i dalej palić cegłę! Zebrawszy raz jeszcze naszą zdemoralizowaną czeladkę, przypuściliśmy szturm po raz czwarty i tym razem nareszcie z dobrym skutkiem. Cegła udała się,

termin jednak wykupienia zegarka dawno minął, alem tej straty nigdy nie żałował.

Odtąd wyrób cegły stał się jednym z najważniejszych przemysłów szkoły, i ostatniego roku uczniowie nasi dostarczyli sto dwadzieścia tysięcy pierwszorzędnej cegły, pożądanej na najlepszym rynku. Poza tym znaczna ilość młodzieży naszej, udoskonalona w tym fachu, znajduje natychmiast po opuszczeniu zakładu zajęcie przy licznych fabrykach parowych i mniejszych Południa. Sprawa cegieł nauczyła mnie patrzeć na stosunki białych z czarnymi na Południu. Wielu mieszkańców, przekonawszy się o dobroci naszego towaru i o zadośćuczynieniu istotnej potrzebie okolicy, nabrało zaufania do rasy murzyńskiej i pojęło, że jej wzniesienie się przyczyni się do ogólnego dobrobytu. Przy kupnie zaznajamiano się, wyradzały się wspólne interesy; biali dostarczali nam, czego nam było potrzeba i na odwrót. Poczucie wzajemnej wygody, wzajemnej potrzeby wytworzyło pewne spoufalenie, zapoczątkowało przyjaźń dwóch ras, dawniej tak wrogich sobie na Południu.

Doświadczenie osobiste każe mi wierzyć, że w ludziach tkwi pewna potrzeba sprawiedliwej oceny zasług innych, bez względu na barwę ich skóry. Sposobność sprawdzenia własnymi zmysłami także robi swoje i łagodzi uprzedzenia. Widok solidnego gmachu, zbudowanego przez murzynów, jest bardziej przekonującym, aniżeli liczne broszury, dyskutujące nad możliwością i zdolnością postawienia przez nich jakiegoś budynku.

Tym może wtedy nieuświadomionym jeszcze przekonaniem wiedziony, że przykład i dowód najlepiej wycho-



wują społeczeństwa, prowadziłem dalej swą pracę. Sami robiliśmy sobie taczki, wozy i bryczki. Obecnie mamy w użytku tuziny podobnych wehikułów, z których każdy własnoręcznie przez uczniów wykończony został. Dostarczamy ich gminie, podobnie jak i cegły, a dokądkolwiek uda się kołodziej lub stelmach w naszej wyćwiczony szkole — wszędzie uważany jest za dobroczyńcę i rozstanie się z nim uważa się za dotkliwą krzywdę.

Każdy, kto potrafi wykonać coś pożytecznego, znajdzie sposób utrzymania bez względu na swą rasę. Nie mówię tu o umiejętności oderwanej języków starożytnych na przykład, bo tych nie wszędzie po wsiach potrzeba, ale cegły i wozy zawsze się przydadzą. Fachowość rzemieślnika sprowadzi mu pierwsze zamówienie, a jego dokładność przyczyni się do dalszego powodzenia. W początkach naszych zmuszeni byliśmy dość usilnie przekonywać uczniów o potrzebie nauczania się jakiegoś fachu obok wiadomości szkolnych. Szły tedy na wszystkie strony ogłoszenia o tym, że każdy, wstępujący do szkoły w Tuskegee, obowiązany jest, bez względu na stan swój majątkowy, nauczyć się jakiegoś fachu. W odpowiedzi zjawiały się protesty rodziców przeciwko krzywdzeniu dzieci zabieraniem im czasu poświęconego na naukę. Mieliśmy także często wizyty osobiste rodziców i opiekunów. Większość przynosiła świadectwa z domu, że nie zgadzają się na poboczne zajęcia. Wszyscy łaknęli książek grubych i z najdłuższymi tytułami.

Nie uwzględniając żadnej z próśb, chodziłem przecież wszędzie i wpływałem osobiście na zmianę prze-

konań o wartości pracy fizycznej. Mowy miewałem częste w szkole i za jej obrębem w tym samym przedmiocie. Mimo niepopularności tych właśnie zasad, liczba uczniów w końcu pierwszego roku wzrosła do stu pięćdziesięciu; była to młodzież ze wszystkich Stanów Alabamy.

Podczas letnich wakacji 1882 znów powędrowaliśmy z miss Davidson ku Północy dla zasilenia naszej kasy ofiarami dobrych ludzi. W New-Yorku zatrzymałem się, chcąc poprosić znajomego misjonarza o list polecający. Nietylko odmówił mi listu, ale opatrzył radami tego rodzaju, że powinienem wracać jak najprędzej, albowiem niema widoków, żebym zebrał tyle nawet, ile na powrotną drogę potrzeba. Podziękowawszy za rady, ruszyłem dalej.

W Northampton chciałem zatrzymać się u znajomej rodziny z obawy, że mnie nie przyjmą w hotelu, ale ku miłemu zdumieniu przekonałem się, iż bez żadnych trudności wszędzie drzwi były dla murzynów otwarte.

Materjalne powodzenie podróży pozwoliło myśleć o otwarciu pensjonatu. Był on tym konieczniejszą potrzebą, że uczniowie zjeżdżali się ze stron coraz dalszych, my zaś, nie wnikając w życie domowe uczniów, moglibyśmy działać i wpływać na ich obyczaje tylko powierzchownie, co wcale naszym zamiarem nie było.

Oprócz kandydatów z doskonałym apetytem nie posiadaliśmy nic, ani zapasów, ani kuchni, ani jadalni; w suterynach gmachu szkolnego dało się przecież wykończyć coś na kształt refektarza i kuchni. Przy po-



mocy uczniów po kilku tygodniach pomieszczenie, jakkolwiek nie wykwindne, mogło od biedy służyć za jadalnię. Dziś niktby nie uwierzył, oglądając nasze sale jadalne, żeśmy się kiedyś w tak pierwotnej izbie zbierali. Fraszka to było jednakże w porównaniu z troską o pomieszczenie na sypialnie i inne ubikacje uczniowskie. Kupcy okoliczni ofiarowali nam kredyt, i ta wiara, to zaufanie ludzi były większe od własnej w swoje siły wiary. Swoją drogą trudno było gotować bez saganów i jeść bez nakryć. Zrazu przygotowywano jadło na dworze, po dawnemu, jak za moich lat dziecinnych. Za stoły służyły nam ławy ciesielskie, co zaś do nakryć, to naprawdę nie były warte nawet obecnej wzmianki.

Z początku nikt nie wiedział, co to jest stała godzina obiadowa, a i sam posiłek wiele pozostawiał do życzenia. To mięso było przypalone, to chleb przez zapomnienie nie posolony, to herbaty zapomniano przygotować. Każdego rana słyszałem w „jadalnym pokoju“ skargi uczniów na potrawy. Jedna z uczennic piła wodę zamiast śniadania, inny nie dostał tego, co mu się należało, i rzeczywiście położenie nasze można było nazwać opłakany.

Powoli jednak, cierpliwością i wytrwałą pracą, z chaosu wyłonił się porządek, nieunikniony rezultat wysiłków celowych i konsekwentnych. Cofając się myślą do tych walk, rad jestem, żeśmy je stoczyli. Rad jestem, żeśmy tyle niewygód przecierpieli. Rad, że uczniowie sami wykopali dół na kuchnię i pierwszą jadalnię. Dobrze zacząć od małego i prostego, lepiej, niż od razu zna-

leźć się wśród wygód i komfortu, który często przewraca w głowie i znieprawia młodzież.

Gdy starsi nasi uczniowie odwiedzają nas w Tuskegee, oprowadzamy ich po naszych obszernych wspaniałych, doskonale wietrzonych salach, częstujemy smakowitemi potrawami, najczęściej własnej roboty. Na widok obrusów, serwet, wazonów z kwiatami na stołach, wobec precyzji godzin obiadowych, zadowolenia setki uczniów zapelniających sale—mimowoli duma sprawiedliwa napelnia ich serca i wzbiera ono radością na myśl o przyczynieniu się do takiego rozkwitu.



## ROZDZIAŁ XI.

**Chcąc spać na łóżku, należy je sobie zrobić.**

Pierwszy nasz dobroczyńca, generał Marshall, który pożyczką kilkusetdolarową umożliwił nabycie gruntu Tuskegee, odwiedził szkołę, sprawiając nam tym wielką przyjemność. Nieco później przyjmowaliśmy Miss Mackie, ową dyrektorkę, która mnie do Hampton przyjęła po egzaminie ze sprzątanía, w końcu spotkał nas zaszczyt powitania generała Armstronga. Skład nauczycieli był przeważnie hamptoński, i wszyscy zgottowaliśmy uwielbianemu przewodnikowi swemu najgorętsze przyjęcie.

Lud zdaleka przyjeżdżał, aby spojrzeć na generała, którego nazwisko stało się tak popularnym; niemniej czci okazywali mu biali obywatele stron naszych. Podczas pobytu gen. Armstronga miałem sposobność wniknąć w jego wielki charakter. Z dobroci jego niezwyklej względem murzynów wyprowadziłem był mylny wniosek o jego niechęci ku białym. Teraz mogłem przekonać się, iż jedynym motorem jego poświęceń było poczucie sprawiedliwości; poznałem, że pomaganie słabym nadaje człowiekowi siłę, prześladowanie zaś upo-

śledzonych siłę odbiera. Przejawszy się tą zasadą, postanowiłem nie dopuścić nigdy, aby dusza moja spodliła się i znikczemniała nienawiścią ku ludziom. Zacząłem od wyzbycia się wszelkiego śladu zawziętości ku białym za krzywdy, jakoby naszej rasie czynione. Z głębi duszy żał mi każdego, który żywi w swym sercu przesady rasowe.

Dla coraz to gęściej napływających uczniów zmuszeni byliśmy w pierwszych czasach powstawania pensjonatu stawiać baraki, gdzie, ma się rozumieć, cierpieli zimą dotkliwie od chłodu, latem od żaru. Płaca wynosiła ośm dolarów miesięcznie za pomieszczenie, życie, opał i pranie. Nauka kosztowała pięćdziesiąt dol. rocznie. Ręczną pracą odrabiali ile się dało.

Wobec tak małych dochodów, nic dziwnego, że nie rozporządzaliśmy żadnym kapitałem. Druga zima pensjonarska była bardzo surowa. Nie zdołaliśmy zaopatrzyć się w kołdry i materace. Myśl o tym braku tak mnie dręczyła, że nie mogłem zmrużyć oka nocą. Często wstawałem do moich uczniów i chodziłem ich pocieszać. Zastawałem ich przytulonych do siebie wokoło ogniska. Kilka kołder służyło kolejno różnym garstkom uczniów. Mimo to nie skarżyli się prawie nigdy, wiedząc, że czynimy dla nich, co możemy. Każdy chwycił z radością sposobność ulżenia drugiemu, przyjszcia w pomoc pracą lub prywacją.

Powszechnym jest mniemanie, iż murzyni nie lubią słuchać i poważać zwierzchników swojej rasy, co uniemożliwia dyscyplinę w danym wypadku. Zapewnić mogę, iż w ciągu dziewiętnastoletniej swej działalności



w Tuskegee, nigdy nie miałem sposobności zauważyć, żeby mi który z uczniów ubliżył lub opór stawiał. Przeciwnie, często wprowadzały mnie w zakłopotanie dowody dobroci i przywiązania. Po prostu prześcigali się w ulżeniu mi na każdym kroku. Skoro tylko na ulicy deszcz mnie zaskoczy, natychmiast zjawia się koło mnie jakiś uczeń z rozpiętym parasolem, prosząc o pozwolenie przeprowadzenia mnie. Zresztą konstatuje z przyjemnością, że nigdy od białych nie doznałem również żadnej przykrości osobistej, mnóstwo zaś dowodów uznania i przychylności. Niedawno podróżowałem po Stanie Texas. Niewiadomo skąd rozeszła się naprzód wieść o tym, że znajduję się w pociągu. Na każdej niemal stacji gromada osób, najczęściej urzędowych, witała mnie z zapalem, dziękując za dzieło oświaty w Tuskegee. Kiedy indziej znowu, będąc w podróży po Gieorgji, zajmowałem przedział w wagonie sypialnym Pullmana. Kiedym wchodził, zastałem oczekujące na mnie dwie damy z Bostonu, dobre moje znajome. Nie znając widocznie rozporządzeń kolejowych, zapraszały mnie do swego przedziału, nalegając, abym dotrzymał im towarzysztwa. Zawahawszy się chwilę, ustąpiłem. Jedna z pań tych zamówiła kolację na trzy osoby. Byłem w coraz większym kłopotcie, zwłaszcza że wagon pełen był białych, których oczy na nas były zwrócone. Pośłyszawszy, że wieczerza zamówiona, usiłowałem pod jakim bądź pozorem opuścić przedział, lecz panie stanowczo nie udzieliły pozwolenia. Siedziałem więc, jak na szpilkach, mówiąc do siebie: „Nawarzyłem sobie bigosu, trudno

Nadomiar ambarasu gospodynie wzięły się same do przyrządzenia herbaty, krzątając się przy tym i usługując mi. Nareszcie męka się skończyła; była to najdłuższa i najcięższa uczta w moim życiu. W końcu wyrwałem się do palarni, aby z okna rozejrzeć się po okolicy. Tymczasem dowiedziano się jakoś o mojej obecności i ku bajecznemu zdziwieniu memu wszyscy podróżni, znajdujący się w palarni, przystąpili do mnie, przedstawiając się i dziękując z zapalem za moją działalność na Południu. Była to manifestacja czysto impulsywna bez żadnej ukrytej myśli.

Zawsze szło mi o to, żeby przejąć uczniów przekonaniem, iż Tuskegee nie jest ani moją, ani rządową, ani nauczycieli własnością, lecz że to instytucja, należąca do uczniów samych; jej powodzenie tedy im tylko korzyść przyniesie. Następnie szło mi o to, żeby we mnie nie widzieli nigdy nadzorcy, ale opiekuna i przyjaciela. Celem moim było wzbudzić zaufanie takie, aby z całą swobodą wypowiadali swe zdanie, tyczące się spraw szkolnych. Trzy razy na rok uczniowie pisują do mnie listy, zawierające sąd osobisty w przedmiocie zalet lub wad w ustroju instytucji. Często w kaplicy w szczerą pogawędkę czynimy sobie wzajem uwagi. Są to dla mnie przyczynki ważne dla pomyślnego rozwoju szkoły, przyczym otwartość uczniów sprawia mi wielkie zadowolenie. Tym sposobem trzymam rękę na pulsie istotnych potrzeb szkoły i żyję jej istotnym życiem. Tylko czyniąc człowieka odpowiedzialnym i obdarzając go jednocześnie zaufaniem, można wyrobić w nim indywidualność. Czytając nieraz o nieporozumieniach między robotnikami



a pracodawcami, myślałem sobie, że wielu rozdźwięków i bezroboci można by uniknąć przez wspólną naradę, przez otworzenie im oczu, przez wykazanie wspólności interesów. Każdy osobnik reaguje na położone w sobie zaufanie, i tyczy się to zarówno murzynów jak i każdej innej rasy. Przekonajcie ich raz, że nasze zainteresowanie się nimi jest bezinteresowne, a zaprowadzicie ludzi, dokąd zechcecie.

Jak wiadomo, uczniowie nasi wszystkie potrzebne budynki wykończali sami; artykuły żywności, od orki do gotowania, przygotowywali sobie sami. Tak się też rzecz miała ze sprzętami domowymi. Podziwiam dziś wytrwałość i cierpliwość uczniów, spijających na gołej ziemi w oczekiwaniu łóżek i obchodzących się bez niezbędnych wygod w nadziei lepszej przyszłości!

Doskonałość naszego umeblowania zjawiała się także nie odrazu. Z początku raz po raz jakieś łóżko rozsypywało się pod uczniem; co zaś do materaców, to pierwsze robiliśmy z worków wołokowych napełnionych igliwem z lasu. Przemysł materacowy rozwinął się tak dalece u nas, że stanowi ważną gałąź nauki w klasie dziewcząt i ze sprzedaży przynosi znaczny dochód magazynom w Tuskegee. Zamiast krzesel zadowalaliśmy się w pierwszych czasach trzema zbitymi deskami, dziś warsztaty nasze wykończeniem swych robót mogą z każdym specjalnym zakładem spółzawodniczyć.

Największy nacisk kładłem ustawicznie na czystość. Uczniom powtarzamy jak najczęściej, że ubóstwo jest usprawiedliwione, brudy — nigdy.

rozgrzeje bardziej tłumy, niż prośby i przekonywania. Dał mi wiele wskazówek co do treści moich przemówień. Jedną z nich była uwaga: „Niech w każdym zdaniu twym będzie myśl“. O ile mogę, staram się do tej rady stosować, śmiałbym ją nawet innym polecić, jako jedyną dla publicznych mówców.

W ciągu ostatnich lat kilkunastu większość czasu spędziłem w podróży na zbieraniu funduszy na moje przedsięwzięcie. Udało mi się zdobyć pewną sumę doświadczenia, nie pozbawionego wagi dla mych czytelników. Mnóstwo osób zapytuje mnie, jaką rządę się zasadą w mych usiłowaniach filantropijno-propagatorskich, aby wzbudzić zainteresowanie publiczności. O ile można sformułować teorię żebrania, powiem, że miałem dwie zasady: po pierwsze, spełniać swą powinność informacyjną sumiennie i całkowicie wobec jednostek i stowarzyszeń; po drugie, nie dręczyć się zbytnio rezultatem. Najtrudniej mi przyszło przeprowadzić drugą zasadę. Trudno jest zachować pogodę umysłu w wilgę płatności weksli, kiedy się niema dolara w kieszeni, ale z drugiej strony szkoda tracić energję i siły, tak potrzebne w walce życiowej, na bezpłodne troski. Obcując często z ludźmi, którzy doszli do znacznego stanowiska własną pracą, zauważyłem, iż wspaniale umieją panować nad sobą, zachowując stale równowagę umysłową, że są cierpliwi i grzeczni. Typową postacią tego rodzaju jest dla mnie prezydent M-c Kinley.

Chcąc zdobyć powodzenie w jakimkolwiek przedsięwzięciu, należy zatopić się w nim aż do zupełnego o sobie zapomnienia dla dobrej sprawy.



Doświadczenie nauczyło mnie nie podzielać zdania ludzi potępiających ryczałtowo bogaczy. Zdaje mi się, że ci ostrzy krytycy niedostatecznie są informowani o wielkich organizacjach i nie zdają sobie sprawy, jak bardzo gabinet zamożnego człowieka zalany jest powodzą próśb ustnych i piśmiennych. Ilekroć czekałem na przyjęcie u jakiegoś bogatego człowieka, zastawałem dziesiątki ludzi, przybyłych w podobnym do mojego interesie. Po mnie napływali inni. Bogaci z konieczności może dają nieraz więcej, aniżeli ubodzy wyobrazić sobie mogą. Nieraz w mojej obecności potępiano za skąpstwo ludzi, o których wiedziałem na pewno, że składają po tysiącu dolarów rocznie na ofiary społeczne, unikając hałaśliwej filantropji. Jako przykład, mogą służyć owe dwie panie, którym tak hojne ofiary szkoła w Tuskegee zawdzięcza. Inne instytucje zasilane są w podobny sposób przez te same filantropki, których nazwiska wymienić mi nawet nie wolno.

Tak zwanego „naciągania“ unikałem zawsze i nie sądzę, żeby ono było skuteczne, kiedy się ma do czynienia z ludźmi, znającymi się na rzeczy. Najlepsze wrażenie wywierają fakty, cyfry statystyczne, plastyczne przykłady, dające wyobrażenie o działalności instytucji i jej rezultatach.

Będąc w Bostonie, udałem się razu jednego do bardzo zamożnej damy i, posławszy swą kartę, czekałem w przedsionku na przyjęcie. W tej chwili małżonek owej pani wrócił do domu i, zastawszy mnie czekającego, zapytał szorstko o powód przybycia. Objaśnienie moje wyprowadziło go zupełnie z równowagi, tak, że nie cze-

kając odpowiedzi pani, opuściłem gościnne jej progi. O parę kroków dalej mieszkał obywatel, który nietylko że nadzwyczaj uprzejmie mnie przyjął, ale, ofiarowawszy czek na znaczną sumę, dodał: „Dziękuję panu serdecznie za dopuszczenie mnie do udziału w waszych szlachetnych dążeniach. Jestem panu szczerze obowiązany, jak zresztą wielu Bastończyków, za wszelkie dobro, jakie czynisz dla nas na Południu“.

W Bostonie prawie bez wyjątku każdy ofiarodawca dziękował mi za danie mu sposobności przyjęcia spółudziału w dziele tak doniosłym, jak nasze. Ludzie tam czują się w wysokim stopniu zaszczyceni, jeśli mogą przyczynić się do sprawy obywatelskiej czy społecznej.

Postępując stale według zasady „dać ludziom sposobność do dobrego czynu“, nie żałowałem nigdy swego trudu. Raz, pamiętam, zrobiłem kilka mil, aby odwiedzić pewnego pana, o którym mówiono mi, że zainteresowałby się naszą szkołą, gdyby mu informacji szczegółowych udzielono. Podczas śnieżycy i wiatru odbywszy drogę, postarałem się o przyjęcie. Przedstawienie sprawy trwało z jakie trzy godziny: ja gadałem, on słuchał. Ale nie dał nic, ja zaś, chociaż czułem, że tyle czasu stracił na próżno, wyszedłem z zadowoleniem, że nie będę sobie mógł wyrzucić zaniedbania.

We dwa lata po mojej wizycie nadszedł następujący list od tego samego jegomości: „W załączeniu przekaz na dziesięć tysięcy dolarów dla pańskiej szkoły. Miałem zamiar sumę tę umieścić w testamencie, ale wolę dać ją za życia. Z przyjemnością wspominam wizytę



pana". Mało kiedy doznałem tak żywego zadowolenia, zwłaszcza że dar zjawiał się w chwili wielkiej posuchy finansowej. Trudno sobie wyobrazić, nie doznawszy samemu tych przykrości, jakie krytyczne chwile przechodzi kierownik większego przedsiębiorstwa, nie rozporządzający kapitałem, wobec naglących potrzeb i groźnych terminów. W danym wypadku odpowiedzialność moja była tym większa, iż, jako murzyn, wyobrażałem działalność całej swej rasy, na którą zwrócone były nieprzychylnie spojrzenia białego ogółu. Nasze niepowodzenie stanowiłoby wobec świata dowód nieudolności rasowej. Dar hojny dziesięciu tysięcy dolarów zwałił więc ze mnie brzemię, pod jakim się od lat kilku uginałem. Od pierwszej chwili istnienia szkoły starałem się przejąć nauczycieli zasadą, że szkoła nasza nie zginie, póki prowadzić ją będziemy drogą prawdy, zdrowia moralnego, i sami żyć będziemy życiem i nadziejami szkoły. Kiedym się pierwszy raz widział z ś. p. Huntingtonem, wielkim przedsiębiorcą kolejowym, dał mi na szkołę dwa dolary. Na parę miesięcy przed śmiercią przysłał pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Pomiędzy jedną ofiarą a drugą znajdował się szereg różnych darów zwiększających się proporcjonalnie.

Niektórzy zechcą utrzymywać, iż sprzyjało nam szczęście; nam jednak się zdaje, że to twarda praca nasza taki plon przyniosła. Kiedy p. Huntington dał mi owe dwa dolary, nie miałem mu za złe tej powściągliwości, ale postanowiłem dać mu namacalne dowody, iż dzieło moje warte było hojniejszych darów. W miarę moich szczerzych raportów o wzroście zakładu, wzrastały też

jego roczne składki; p. Huntington nie tylko zasilął nas finansowo, ale często wspierał przyjacielską radą i ojcowiskim zagrzewał przywiązaniem.

W początku naszego istnienia zdarzyło mi się popełnić zuchwalstwo. Zaprosiłem mianowicie rektora kościoła Św. Trójcy w Bostonie, aby u nas wypowiedział kazanie. Kaplicy jeszcze nie posiadaliśmy, kazanie tedy wypadło czcigodnemu kapłanowi mówić pod gołym niebem, wobec licznych, co prawda, słuchaczy. Wtym spadła straszna ulewa, ktoś rozpiął nad mówcą stary parasol, i w tej chwili dopiero stanęło mi w oczach zuchwałe moje postępowanie, kiedym ujrział duchownego w położeniu tak fatalnym. Ks. rektor Donald zauważył, iż przydałaby się nam obszerna kaplica, i istotnie w kilka dni później nadszedł list z Włoch od dwóch pań bawiących tam czasowo, zapowiadający fundusz odpowiedni.

Pan Andrew Carnegie złożył nam dwadzieścia tysięcy dolarów na bibliotekę. Dotychczas musieliśmy się zadowalać kącikiem niewygodnym, a zapas dzieł był bardzo ubogi. Dziesięciu lat trzeba mi było, aby zagrać pana Carnegie do naszego dzieła; zrazu był obojętny, lecz wziąłem sobie za zadanie przekonać go, iż godni jesteśmy jego pomocy. Po latach dziesięciu ciężkiej z nim pracy, napisałem do niego list następujący:



15 Grudnia 1900 r.

W-ny Andrew Carnegie 5 W. 51 Str. New-York.

Szanowny Panie,

Stosownie do upoważnienia Jego, zwracam się niniejszym z prośbą o fundusz na gmach biblioteczny dla naszego zakładu. W zakładzie mieści się 1100 uczniów, 86 personelu szkolnego razem z rodzinami i około 200 murzynów, mieszkających w pobliżu szkoły. Wszyscy pragną z książek korzystać.

Posiadamy około 12,000 książek, pism i tym podobnych darów od przyjaciół, lecz pomieszczenie jest ciasne i brak sali do czytania.

Wychowawcy naszych zakładów rozpraszają się po całym Południu, zdobyta więc w szkole wiedza oraz nabyte z książek wiadomości znacznie przyczynić się mogą do rozszerzenia oświaty całej rasy murzyńskiej.

Budynek, jakiego nam potrzeba, postawić można za 20,000 dolarów. Roboty ceglarska, mularska, ciesielska i kowalska mogą być dokonane przez uczniów. Fundusz, ofiarowany na wzniesienie budynku, przyniesie tedy dodatkową korzyść, dając sposobność uczniom wydoskonalenia się w ich fachu, pieniądze zaś, zarobione przez nich przy robocie, pokryją koszt ich nauki i utrzymania w zakładzie. Jedna tedy kwota wpłynie jednocześnie w trojaki sposób na rozwój instytucji.

Dalsze informacje z największą przyjemnością na żądanie W. Pana złożyć jestem gotów.

Z szacunkiem

Booker T. Washington

Dyrektor.

Odwrotna poczta przyniosła odpowiedź taką:

„Z przyjemnością pokryję wydatki na budowę gmachu bibliotecznego do wysokości dwudziestu tysięcy dolarów i rad jestem ze sposobności okazania szkole Tuskegee mego zainteresowania“.

Poza znacznymi subsydjami egzystencja szkoły naszej opierała się głównie na drobnych zasiłkach ludzi skromnych. Zasiłki te pociągały za sobą zainteresowanie się szerokich sfer, które jedynie zdolne jest utrwalić byt danego przedsięwzięcia.



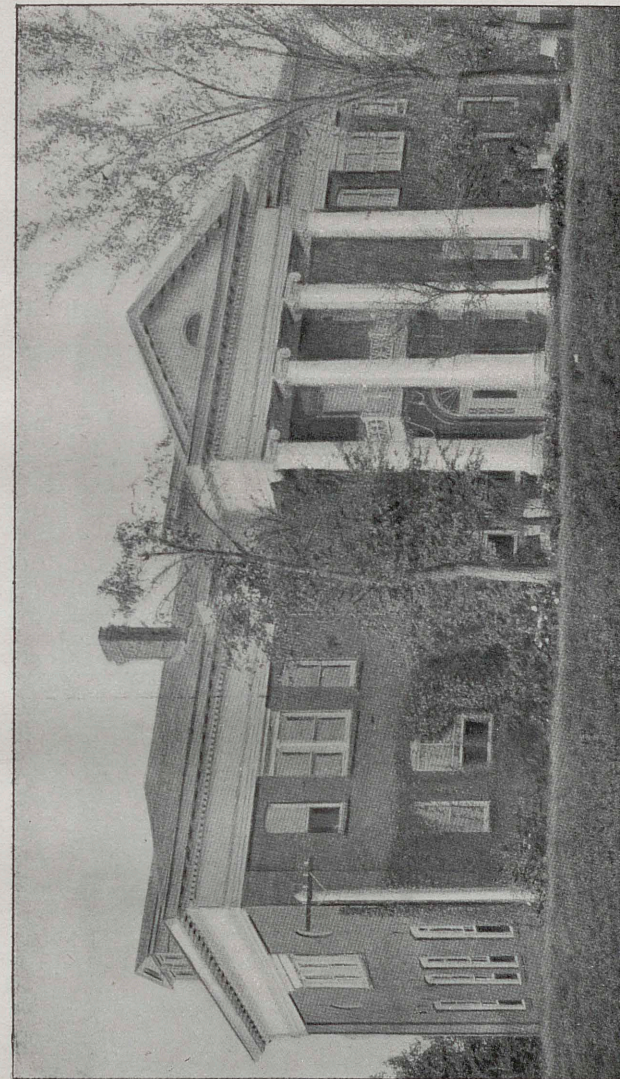
### ROZDZIAŁ XIII.

#### Dwa tysiące mil dla pięciominutowej mowy.

Wspominałem już raz o naszej wieczornej szkole, która powstała na wzór Hamptońskiej dla uczniów zupełnie niezamożnych. Dziesięciogodzinną pracą za dnia uczniowie ci obojga płci zarabiali na pokrycie kosztów utrzymania oraz kilkugodzinnej nauki wieczornej. Mały, zaoszczędzony przez uczniów, fundusik przeznaczał się na dalsze kształcenie w szkole dziennej i spoczywał w skarbcu szkolnym. Liczba tych prawdziwie zapalonych adeptów wiedzy doszła obecnie do stu kilkudziesięciu i przyznaję, że największą słabość mam do tej garstki młodzieży, która, po żmudnej pracy zarobkowej dziennej, z zapalem zabiera się do wieczornych studiów.

Opuściwszy wieczorną szkołę, uczeń wstępuje do dziennej, gdzie pracy książkowej poświęca cztery dni tygodniowo, rzemiosłu zaś—dwa pozostałe; poza tym korzysta z trzech miesięcy wakacyjnych.

Żadnemu, nawet najzamożniejszemu uczniowi nie pozwalamy korzystać wyłącznie z nauki szkolnej, każdy musi przejść jakąś gałąź przemysłu lub rzemiosła. Po



GMACH BIBLIOTECZNY W TUSKEGEE (DAR CARNEGIE'GO)  
wybudowany przez uczniów.



provincjach jest mnóstwo wychowalców naszych szkół wieczornych, którzy z powodzeniem oddają się fachowi u nas zdobytemu.

Zadawano mi nieraz pytanie, jak i kiedy rozpocząłem swoją karierę mówcy. Co prawda, gadanie nie leżało w moim charakterze, zawsze wolałem czynić, aniżeli o czynach prawić. Ale w epoce moich podróży z generałem Armstrongiem i owego tournée na korzyść szkoły zmuszony byłem na każdym mityngu przemawiać, i wtedy ksiądz Bicknell zaprosił mnie do wypowiedzenia mowy w Stowarzyszeniu Wychowawczym w Madison. Tysiące osób zgromadziło się dnia tego w mieście. Biali przybyli w przekonaniu, że usłyszą żale za ich nadużycia, murzyni dla wzięcia udziału w tak zaszczytnej dla nich uroczystości. Przekonawszy się, iż w mowie swej nadałem tylko wyraz dobroci oraz społecznego białych względem murzynów, biali nie posiadali się z wdzięczności i mnóstwo listów z wyrazami uznania nadeszło wtedy do mnie.

W mowach swych starałem się zawsze nie jątrzyć wzajemnych stosunków wywlekaniem na jaw krzywd doznanych lub sprawionych, lecz wzbudzić zadowolenie i wykazać jasne strony każdej rasy. Przytym stale uważałem fakty za najlepsze argumenty.

Raz np. opowiedziałem o wychowalcu naszym, że udało mu się wyprodukować 266 korcy kartofli z akra gruntu, na którym do tej pory przeciętny zbiór dawał najwyżej czterdzieści dziewięć korcy z akra. Powodzenie swe rolnik zawdzięczał znajomości składu chemicznego gleby oraz nowych metod prowadzenia gospodar-



stwa rolnego. Biali sąsiedzi szanowali go i zwracali się doń często o radę w sprawach kultury ziemi. Szanowali go za to, że dzięki umiejętności swej przyczynił się do dobrobytu i wygody gminy, wśród której żył.

W dziecinnych i młodocianych latach czułem żal do ludzi uprzedzonych nieprzychylnie względem murzynów i głosujących za środkami represyjnymi, tamującymi ich swobodny rozwój. Dziś na widok podobnego osobnika czuję tylko litość, gdyż działa w większości wypadków nie w złej wierze, lecz z fałszywego punktu widzenia. Wstrzymuje on postęp ludzkości, ale trud to tak bezowocny, jak usiłowanie wstrzymania własnym ciałem pociągu w pełnym biegu.

Coraz więcej napływało zaproszeń, abym miał mowy. Zaczęto proponować przemawianie do białych przedstawicieli Stanów, jak np. w roku 1893 na zgromadzeniu międzynarodowym robotników chrześcijańskich w Atlancie. Czas mój był tak skrupulatnie obliczony, miałem wtedy tyle zobowiązań w rozmaitych miastach, że mogłem wypowiedzieć mowę w Atlancie tylko w przejeździe, t. j. przyjechać na pół godziny przedtym i wyjechać pociągiem następnym w godzinę później do Bostonu. Ponieważ trwanie mojej mowy obliczono na minut pięć, więc trudność cała tkwiła w umiejętnym streszczeniu swej przemowy tak, aby dla niej opłacało się odbyć taką podróż.

Wiedziałem, że publiczność moją stanowić będą ludzie najbardziej wpływowi i że nie lada to sposobność przedstawienia im zarówno dzieła w Tuskegee, jak stosunku wzajemnego ras obu. Zdecydowałem się tedy

przebyć dwa tysiące mil dla wypowiedzenia pięciminutowej mowy. Słuchaczy było parę tysięcy, przeważnie białych z Północy i Południa. Słowa moje przyjęto z entuzjazmem, dzienniki chwaliły i publikowały je po prowincji. Czułem, że cel osiągnął, panująca klasa Południa przejęła się moim zapatrywaniem.

Zbliżam się do epizodu, który wzbudził najszybciej zainteresowanie się mną i bardziej może przyczynił się do mojej, że tak powiem, narodowej popularności, niż cała puprzedzająca działalność moja. Miałem wypowiedzieć mowę na międzynarodowej wystawie w Atlancie 18-go września 1895 r. Zaproszenie było nader uroczyste i urzędowe i istotnie doznawałem uczucia trwogi na myśl o tym, co mnie czeka i jakie wrażenie moje słowa wywołają. Pamiętam, że starałem się najgoręcej przemówić do serca słuchaczy i zarazem w najprostszych słowach przekonać ich, że jedną tylko drogą można osiągnąć dobrobyt obu ras, a mianowicie wzbudzeniem sympatji ku sobie, solidarnej odpowiedzialności i nieustannym rozwijaniem pierwiastków szlachetnych. Wystawa obecna, mówiłem dalej, świadczyła o postępach uczynionych od czasu oswobodzenia niewolników. Usiłowałem wykazać, że poza wolnością polityczną, czystość, pracowitość, oszczędność i charakter stanowią podstawę, na której jedynie wznieść się może naród, i cokolwiek w tym kierunku się czyni, ma pierwszorzędne dla tego narodu znaczenie.

Postanowiono dać murzynom sposobność pokazania światu tego, co już dokonali, wzniesieniem na wystawie gmachu, poświęconego wyłącznie ich dziełom. Obmy-



śleć i wykończyć budynek mieli sami murzyni. Śmiało rzec można, że murzyński pawilon dorównał innym pod każdym względem.

Lwią część wystawy w tym pawilonie reprezentowały instytucje Hamptońskie i nasza z Tuskegee. Wielkie zdumienie ogarnęło białych na widok rezultatów, osiągniętych w tak krótkim czasie przez rasę niedawno wyzwoloną. Skoro już raz zajęli murzyni tak wybitne na wystawie stanowisko, okazała się konieczność, żeby jeden z nich wziął udział w inauguracyjnych mowach i zwrócono się znowu do mnie z urzędowym zaproszeniem.

Kto nigdy nie znalazł się na bardzo odpowiedzialnym stanowisku, nie zdolen odczuć walk, jakie przeszedłem wówczas. Pamiętałem, że byłem niewolnikiem, że wczesne swe lata spędziłem w przepaściach nędzy i ciemnoty, i że parę lat temu którykolwiek z mych białych słuchaczy mógł być panem mego życia. Wiedziałem także, że po raz pierwszy w historii murzynów zjawia się mówca z ich rasy, upoważniony do przemówienia na równi z białymi do słuchaczy białych. Miałem przemówić do ludzi z kulturą starą, do możnych, do dawnych panów.

Przysięgłem sobie nie powiedzieć słowa, któreby nie było szczere i nie szło z głębi serca. Komitet wystawowy dał mi dowód najwyższego zaufania, nie udzielając żadnych wskazówek co do treści mej mowy, jakkolwiek każdemu wiadomym było, że jedno niewłaściwe wyrażenie może stać się fatalnym dla powodzenia wystawy.

Tymczasem dzienniki prześcigały się w dysputach nad ewentualną zawartością mego przemówienia. Wielu z dziennikarzy otwarcie sprzeciwiało się wystąpieniu murzyna. Otrzymywałem setki gróźb, rad, ostrzeżeń od białych i swoich. W miarę zbliżania się chwili stanowczej czułem coraz większy ciężar na sercu. Dnia 17-go września wyruszyłem z żoną i trojgiem dzieci do Atlanty. Zdawało mi się, że idę na stracenie. Na drodze z Tuskegee spotkałem znajomego białego sąsiada. „Washingtonie — rzekł mi żartobliwie — mówiłeś już do białych z Północy, do murzynów z Południa i do naszych okolicznych mieszkańców. Jutro będziesz miał przed sobą białych z Północy, białych z Południa i wszystkich murzynów razem. Dostałeś się, mój drogi, w matnię, co?“ Djagnoza była trafna, ale ulgi mi nie sprawiła. Miasto było przepełnione białymi, czarnymi, przedstawicielami różnych rządów, wojskowymi i cywilnymi stowarzyszeniami. Naczelne artykuły obwieszczały wypadki dni następnych.

Wczesnym rankiem nazajutrz przybyła delegacja, aby mnie zabrać na terytorjum wystawy. Tłumy eskortowały nas, upał doskwierał, droga trwała z jakie trzy godziny z powodu niezliczonych gromad towarzyszących nam; wszystko to zdenerwowało mnie do tego stopnia, że o mało nie zemdlał. Byłem pewny, że nic dorzecznego nie zdołałem wypowiedzieć, chociaż już od wielu dni byłem zupełnie przygotowany. Zwyczajem moim bowiem jest nie powtarzać się, a zawsze dostawiać do rodzaju audytorjum, jakie w danym razie mam przed sobą.



Sala po brzegi pełna, na dworze tysiące ludzi, którzy nie mogli się już dostać do wnętrza. Akustyka znakomita, poznałem to po rezonansie, jaki dały oklaski i wiwaty murzynów oraz słabe powitania białych. Doszło do mojej wiadomości, że wśród wielu przychylnych białych, była i gromada obojętnych, aby być świadkiem mej porażki i móc powiedzieć następnie: „widzicie, ja zaraz mówiłem, że tak się stanie“.

Jeden z moich przyjaciół, opiekun szkoły w Tuskegee, obecny na wystawie, tak był przejęty rolą moją i wrażeniem, jakie me wystąpienie wywoła, że nie czuł się na siłach wejść do sali. W najwyższym napięciu przechadzał się po tarasie, póki ceremonia inauguracyjna się nie skończyła.

## ROZDZIAŁ XIV.

### Mowa inaguracyjna na wystawie w Atlancie.

Wystawę otworzył krótką mową gubernator Bullock. Po kilku przemówieniach wierszem i prozą, gubernator Bullock wprowadził mnie na trybunę, mówiąc: „Oto przedstawiciel murzyńskiej kultury i jej rzecznik“.

Powstawszy, przejęty byłem jedną myślą. Chciałem powiedzieć coś takiego, co by spoili obie rasy przyjaźnią i sprowadziło wspólne dążenia i ideały. Widziałem zwrócone na siebie tysiące oczu. Oto com powiedział:

„Panie Prezydencie, panowie z komitetu, obywatele! Jedna trzecia ludności Południa — to murzyni. Żaden zamiar dążący do materialnego, obywatelskiego lub moralnego dobrobytu tych stron nie może osiągnąć celu, jeśli nie będzie się liczył z tak licznym żywiołem. Wyrażając Zarządowi Wystawy uczucia ogółu murzyńskiego, jako ich rzecznik, wypowiadam z wdzięcznością, że nigdy postępy amerykańskich murzynów, ich praca i dzielność nie znalazły lepszego i godniejszego uznania, jak na tej wspaniałej wystawie, dzięki panom gospodarzom. Od czasu kiedy zaświtała dla nas jutrzienka swo-



body, żaden przypadek nie przyczynił się bardziej do silnego zespolenia obudwu ras.

„Nie sam fakt, ale związane z nim przychylne okoliczności wznieciły u nas nową erę postępu w przemyśle. Ciemni i niedoświadczeni, nie od *podstaw*, ale od *szczytów* wzięliśmy się do dzieła w pierwszych latach nowego życia naszego; miejsce deputowanego w kongresie bardziej było upragnione, aniżeli umiejętność jakiegokolwiek rzemiosła; agitowanie polityczne, mowy wędrowne posiadały większy urok, aniżeli praca nad rolą albo wożenie taczek.

„Statek zabłąkany od dni kilku na morzu ujrzał nareszcie przyjacielski okręt w oddali. Z masztu powiał sygnał: „Wody, wody, umieramy z pragnienia!“. Odpowiedź pojawiła się natychmiast: „Pograjcie czerpaki w wodzie, która was otacza!“. Po raz drugi sygnał: „Wody, przyślijcie wody!“ przybiegł ze statku zrozpaczonego i znowu odpowiedź brzmiała: „Zarzućcie czerpaki tam, gdzie jesteście!“ Na trzeci i czwarty sygnał dawano wciąż jedną odpowiedź: „Bierzcie wodę w koło siebie“. Wreszcie kapitan statku, usłuchawszy rady, kazał zanurzyć kubły i oto napełniły się świeżą, iskrzącą wodą z Amazonki. Moim spółziomkom, którzy nie doceniają ważności utrzymywania przyjaźni ze swojemi białemi sąsiadami, wołam w tej chwili: Czerpcie wodę w koło siebie! Czerpcie ze źródła przyjaźni wśród ludzi otaczających. Czerpcie naukę, pracujcie na roli, w mechanice, przemyśle i służbie domowej. A gdy mówić będą o grzechach murzynów, niechaj pawilon nasz na tej wystawie głośno świadczy o wytrwałej i pełnej po-

wodzenia pracy we wszystkich jej gałęziach. Niebezpieczeństwem, grożącym nam w chwili nagłego przeskoku z niewoli do swobody, było przeoczenie faktu, że liczne warstwy narodu naszego zmuszone są żyć z pracy rąk własnych, niezdanie sobie sprawy, że prawdziwy rozwój nasz pójść może w parze tylko ze zrozumieniem szlachetności i godności pracy fizycznej, powszedniej, dokonywanej rozumnie i z całym skupieniem, że prawdziwy rozwój nasz nastąpi w chwili, gdy potrafimy odróżnić pozór rzeczy od jej istoty, zbytkowne akcesoria od zasadniczych potrzeb. Żadna rasa nie rozkwitnie, póki nie zrozumie, że tyleż jest godności w prowadzeniu pługą, ile w napisaniu poematu. Od podstaw zaczynamy, nie od szczytów. I niechaj nasze żale nie przyćmiewają przychylnych warunków bytu. Tym z rasy białej, którzy z obawą spoglądają na wzrost cudzoziemców w koło siebie, rzekłbym to samo, com powiedział do swoich: Czerpcie ze źródła, który was otacza! Czerpcie w ośmiu milionach murzynów, których zwyczaje nie są wam obce, których wierność i przywiązanie wypróbowaliście we własnych ogniskach. Czerpcie w ludzie, który, nie znając bezrobocia i buntu, orał wasze pola, karczował wasze lasy, budował wasze drogi żelazne i miasta, a z łona ziemi skarby wydobywał, umożliwiając pojawienie się tak wspaniałej wystawy, jak dzisiejsza. Czerpcie w ludzie, dodając mu otuchy, jak to tutaj uczynili, kształcąc głowę, rękę i serce jego. Przez pracę murzynów pola wasze będą stokroć plenniejsze, skarby się pomnożą. Postępując w ten sposób, zapewnicie sobie i swoim potomkom przyjaźń narodu



najcierpliwszego, najwierniejszego, najposłusznieszego prawu i najmniej zawziętego, jaki świat widział. Podobnie jak w przeszłości dowiedliśmy naszego oddania się, piastując dziatki wasze, pielęgnując chorych starców waszych i płacząc na ich grobach, tak też i na przyszłość doznacie od nas poświęceń, do których żaden cudzoziemiec nie byłby zdolny. Gotowi będziemy życie złożyć w obronie waszego, wplatając handlowe, obywatelskie, religijne i etyczne ideały nasze z waszemi w całość nierozdzielną. W sprawach społecznych, mając swobodę ruchu, jaką mają oddzielne palce, w sprawie wspólnego postępu i rozwoju, będziemy jak ręka jedna.

„Tylko przez osiągnięcie najwyższego rozwoju duchowego, osiągniemy ideały wymienione. Jeżeli gdziekolwiek istnieją usiłowania w celu zatamowania rozwoju murzynów, niechaj one skierują się ku zachęceniu i podnienieniu ich do stania się inteligentnymi i pożytecznymi obywatelami. Usiłowania i środki, temu celowi poświęcone, z tysiączną opłacą się lichwą. „Błogosławiony będzie ten, co bierze, i ten, co daje“.

„Niezlomne prawo przyrody  
Wiąże oprawcę z ofiarą.  
W spojeniu grzech i katusze  
Idą przeznaczeń drogą“.

„Szesnaście milionów rąk pomoże wam wciągać brzemień do góry, albo ciągnąć je będzie ku sobie na dół. Stanowić będziemy albo jedną trzecią zaludnienia rozumną i postępową, albo ciemną i zbrodniczą, albo przyczynimy się do rozkwitu Południa, albo staniemy się ciałem martwym, nowotworem zjadliwym, rozkład wnoszącym.

Panowie, oglądając wystawę naszej pracy, nie spodziewajcie się zbyt wiele! Przed trzydziestu laty rozpoczęliśmy samoistną walkę o zbyt z inwentarzem tak bogatym, jak kołdra, kurczę, dynia (niewiadomego pochodzenia). Weźcie pod uwagę przestrzeń, jaką przebyliśmy, aby dojść do znajdujących się w pawilonie naszym sprzętów, narzędzi rolniczych, maszyn parowych, dzienników, książek, pomników, obrazów, materiałów chemicznych, do prowadzenia interesów handlowych i przemysłowych, a łatwo pojmiecie, iż droga nasza nie mogła być pozbawioną cierni i ostów. Przejęci dumą na widok tego rezultatu nieustających wysiłków, nie zapominamy jednak ani na chwilę o pomocy, jakiej udzielić nam raczyły nie tylko Stany Południa ale i filantropi z Północy, tak że stale spływały na nas potoki błogosławieństwa i podniety.

„Najrozsądniejsi z pośród nas rozumieją doskonale, że korzystanie z wszelkich przywilejów może być tylko owocem ciężkiej walki, nie zaś gwałtu sztucznego. Nie ma ostarcyzmu dla tych narodów, które mają *czym* wzbogacić rynek świata. Jest słuszną i ważną rzeczą, żebyśmy korzystali z przywilejów prawa, ale daleko ważniejszą, żebyśmy się nauczyli, jak na nie zasłużyć. Nauczysz się zapracować na dolara, łatwo zdobędziemy umiejętność wydania go.

„Na zakończenie jeszcze raz wyrażam wdzięczność dla szczęśliwego wypadku, który pozwolił nam, cośmy przed 30 laty wyruszyli z gołemi rękami, zjawić się tu przed światem ze swą zdobyczą na polu nauki, rzemiosła, przemysłu i sztuki. Ponad wszystkie powodze-



nia stawiam nadzieję przyjaźni dwóch ras, która oprócz materialnego dobrobytu da nam zaznać nieznanych dotąd uciech na ukochanym naszym Południu“.

Setki rąk wyciągnęło się do mnie z powinszowaniem i z trudnością przedarłem się przez salę. Z wrażenia mowy własnej nie zdawałem sobie sprawy zupełnie, dopiero nazajutrz w śródmieściu zdumiony byłem na widok ogólnego zainteresowania, jakie wzbudzałem. Przystępowano do mnie, ściskano za ręce. Tak się czułem zmieszany temi ciągłymi atencjami, iż spiesznie opuściłem ulicę. Na drugi dzień wróciłem do Tuskegee. Po drodze nie było ani jednej stacji, gdzieby mnie tłumy publiczności nie oczekiwały.

Mowę moją komentowano i powtarzano we wszystkich pismach. Oprócz wielkiej liczby odnoszących się do niej listów nadszedł telegram od wydawcy pisma „Constitution“, gdzie między innymi rzekł: „Nie przesadzam, utrzymując, że przemowa profesora Booker T. Washingtona była pomnikową i rewelacyjną. Obie rasy znalazły w niej najsprawiedliwszą i najcieplejszą ocenę“.

Posypały się najrozmaitsze propozycje od księgarzy, wydawców, przedsiębiorców, impresarijów. Za szereg prelekcji ofiarowano mi pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wszystkim odrzekłem, że pracą mojego życia jest Tuskegee i dla tej instytucji jedynie będę przemawiał. Wstrętne mi były wszelkie frymarki i handlowe spekulacje. Prezydent Cleveland w najgorętszych słowach dziękował mi, a w jakiś czas potem zwiedził pawilon murzyński na wystawie w Atlancie. Przy tej sposobności mogłem poznać jego prostotę i skromność oraz

cierpliwość, z jaką przychyłał się do wszelkich, nieraz natrętnych prośb obywateli. Autografy swe kładł na przedstawianych sobie kartkach z powagą i starannością, jak gdyby to były podpisy na urzędowych papierach. Wnosząc z niezwyklej dobroboci, jakiej stale składał dowody względem naszej szkoły, sądzę, iż M-r Cleveland zupełnie nie ma uprzedzeń rasowych. Dusza jego za wielka na to. Zresztą przekonałem się, iż tylko ludzie ciasnego widnokregu, samolubni, nie znający świata, nie podróżujący, żyjący z zamkniętą duszą, bez wniknięcia w dusze innych, pełni są niechęci i uprzedzeń. Nigdy człowiek, spętany uprzedzeniem, nie wzniesie się do wyższego poglądu. Przekonałem się, że szczęśliwymi istotnie są tylko ci, którzy poświęcić się umieją dla innych; kto nie potrafi żyć dla innych, jest godnym pożałowania. Im dłużej żyję, tym więcej przekonuję się, że właściwie tylko praca nad ulżeniem komuś doli nadaje wartość życiu.

Skoro pierwszy zapal ostygł, moi bracia zaczęli powoli objawiać niezadowolenie. Utrzymywałem, że przeholowałem w grzeczności dla białych, że mało nacisku kładłem na „prawa“ murzynów. Powoli reakcja przychodziła do równowagi i moje zapatrywania wzięły górę.

Kiedy już mowa o przemianach w uczuciach ogółu, opowiem o tym, czego dziesięć lat temu doświadczyłem i czego nigdy nie zapomnę. Było to w jakie dziesięć lat po założeniu szkoły w Tuskegee. Jakiś znaczny duchowny, zarazem wydawca „Przeglądu“, zażądał ode mnie artykułu w formie listu o księżach murzynach Południa, o ich cechach umysłowych i moralnych. Wy-



słałem artykuł dokładny, oparty na osobistych długoletnich obserwacjach. Obraz wyszedł nieco czarno, czy raczej powiedzieć „biało“, ponieważ sądzę z punktu widzenia murzyna? Lecz stan rzeczy nie mógł być inny u rasy tylko co wyzwolonej, która jeszcze czasu nie miała wychować uświadomione co do swych obowiązków pokolenie.

Wkrótce każdy murzyn duchowny przeczytał mój artykuł, i jak grad sypnęły się na mnie listy obelżywe. Przez długi czas każde zgromadzenie, każda konferencja religijna zaczynały się od urzędowego przeklęcia mnie lub wezwania do cofnięcia opinii wyrażonej. Posunięto się aż do odradzania rodzicom posyłania dzieci do Tuskegee. Jedno stowarzyszenie wynajęło sobie nawet misjonarza, którego zadaniem było ostrzegać naród przed moim wpływem. Misjonarz ten miał syna w naszej szkole i jakkolwiek mówił o mnie publicznie co mógł najgorszego, dbał ogromnie o zatrzymanie chłopca w zakładzie. Wszystkie pisma kierunku klerykalnego opiewały chórem nikczemność mego wystąpienia.

Podczas tej gorączki, tych wszystkich napaści, nie odezwałem się jednym słówkiem odwołującym lub usprawiedliwiającym. Czułem, że byłem w porządku, i że czas i wytrzeźwienie wyjaśnią prawdę. Właśnie w owej epoce biskupi oraz inni dostojnicy kościoła odbywali objazdy po plebanjach i niejedno przytym na jaw wyszło. Jeden z biskupów wyraził się, iż sąd mój był o wiele za łagodny. Wkrótce narodowe poczucie sprawiedliwości poczęło domagać się reformy i oczyszczenia kleru. Jakkolwiek i dziś stan rzeczy pozostawia

wiele do życzenia, jednak na żądanie ogółu poczęto wybierać na duchownych ludzi inaczej, niż przedtem, moralnie i naukowo przygotowanych. Bez zarożumiałości mogę sobie wpływ w tym wypadku przypisać. Przyznają to dziś ci, którzy najzawzięciej mnie potępiali. Co do usposobienia duchownych względem mnie, to mogę śmiało powiedzieć, iż zaliczają się do najżyczliwszych moich przyjaciół. Podniesienie poziomu moralnego u duchowieństwa murzyńskiego jest promiennym dowodem uszlachetniania się rasy.

Doświadczenie to nauczyło mnie, iż trzeba pozostać wiernym swemu przekonaniu i nie cofać się, nawet gdyby cały świat jednym wybuchnął oburzeniem. Czas prawdę wyświeśli.

Po mowie inauguracyjnej na wystawie w Atlancie otrzymałem zaproszenie na sędziego przysięgłego do Departamentu wychowawczego w Atlancie, podpisane przez d-ra Gilmana, prezydenta uniwersytetu Hopkinsa.

To zaproszenie zdziwiło mnie bardziej jeszcze niż poprzednie. Moim obowiązkiem musiało być czuwanie nad szkołami nie tylko murzyńskimi ale i białymi Stanów. Przyjąwszy zaproszenie, przepędziłem miesiąc w Atlancie na wykonywaniu czynności. Było nas sześćdziesięciu członków Jury. Na wniosek jednego z nich mianowano mnie sekretarzem sekcji organizacyjnej. Praca ta sprawiła mi wiele przyjemności i z żalem wypadło nam się rozstać.

Często jestem zapytywany o zdanie co do warunków politycznych i przyszłości mojej rasy. Pobyt mój w Atlancie dał mi sposobność wyjawienia opinii, a mia-



nowicie, że z czasem murzynom z Południa przypadną w udziale wszystkie przywileje polityczne, na jakie w pełni zasługują, dzięki swym zaletom charakteru i umiejętnościom. Dalej sędzę, że umiejętność skorzystania właściwego z tych przywilejów nie pojawi się od razu przez działanie wpływów zewnętrznych, ale że przyjacielskie obcowanie z białymi wyposaży murzynów w doświadczenie i trzeźwość poglądu. Poza tym trzeba, żeby biali działali z własnej inicjatywy, nie zaś pod presją „przybyszów, intruzów“, jak nas nazywają.

Gdyby oto przed wystawą w Atlancie prasa murzyńska dopominała się o swój spółdział, o reprezentanta w uroczystościach inauguracyjnych, gdyby domagała się murzyna, jako jednego z „Jury“, dla szkół—oburzenie i niechęć niezawodnie rozbrzmiewałyby tysięcznym echem po pismach. Tymczasem konieczny porządek rzeczy dokonał swego i, niech tam co chcą gadać, owo drzemiące w ludzkiej naturze poczucie sprawiedliwości wywoła zawsze uznanie zasług w innych, bez względu na kolor skóry.

Niechaj tedy murzyn bierze na cierpliwość w politycznych swych pretensjach, licząc na powolne ale niezawodne wpływy, jakie jego zalety wywrzeć muszą. Równouprawnienie jego nie może powstać nagle, z dnia na dzień, ale przyjdzie razem z dojrzałością obywatelską.

Ma się rozumieć głosować trzeba, aby nabrać wprawy w samorządzie. Bez wody niepodobna nauczyć się pływać, ale na głos jego niech wpłynie sąsiad, którego interesy są wspólne, wywołane jedną miejscową potrzebą.

Wątpię, czy mogłoby gdziekolwiek wejść w życie tak niesprawiedliwe prawo, któreby ciemnemu biedakowi pozwalało głosować, dla tego że *biały*, murzyna zaś w tym samym położeniu głosu pozbawiało. Takie prawo, jak każda zresztą niesprawiedliwość, wywołałoby reakcję, albowiem zachęcając murzyna do zdobywania wiedzy i zamożności, zachęcałoby białego do pozostania w ubóstwie i ciemnocie.

Mam nadzieję, że wzrost inteligencji i wzajemnego zaufania uniemożliwi z czasem wszelkie oszustwa balotowań. Widocznym się stanie, że białý, który zdolny jest oszukać murzyna i wydrwić mu głos, uczyni to samo z głosem białego, i że karjera tego rodzaju musi się skończyć na jakimś większym złodziejstwie. Według mnie Południe samo uzna za dobre, aby wszyscy bez wyjątku głosować byli w prawie. Korzyść dla kraju niewątpliwa pod każdym względem: zdrowiej krajowi jest mieć w swym organizmie elementy ruchliwe, pełne siły, aniżeli stagnację, wynikającą z tego, że połowa mieszkańców nie bierze udziału w rządzie i niema w nim osobistego zainteresowania.

Wierzę w powszechne, swobodne głosowanie, ale wierzę w czasowe ograniczenie go na Południu, wynikające z niedostatecznego przygotowania. W każdym razie wymagania co do wykształcenia, czystości i t. d. winny być równomierne dla obu ras, w ich własnym interesie.

---



## ROZDZIAŁ XV.

### Tajemnica powodzenia w publicznych przemówieniach.

Jakiego przyjęcia doznała mowa moja na wystawie w Atlancie, można najlepiej osądzić ze słów korespondenta New-York World, pana Creelman, którego telegraficzne sprawozdanie brzmiało, jak następuje:

18 Września, Atlanta.

„W chwili gdy prezydent Cleveland nacisnął guzik elektryczny, aby wysłać iskrę, wprowadzającą w ruch maszynę wystawy w Atlanta, murzyński Mojżesz stanął przed wielkim audytorjum białych tłumów i wypowiedział orację, która stanowi nową epokę w historii Południa; jednocześnie korpus czarnych wojsk przechodził procesją wraz z białymi żołnierzami Gieorgji i Luizjany. Całe miasto wibruje dziś, przejęte nadzwyczajnością tych dwóch niebywałych wypadków.

„Od czasu nieśmiertelnej mowy Henry Grady wypowiedzianej w New-Yorku wobec społeczeństwa nowoangielskiego—żaden wypadek nie wykazuje tak wymownie zmiany ducha Nowego Południa, jak to wystąpienie murzyna, chyba sama wystawa.

„Kiedy prof. Booker T. Washington, dyrektor szkoły technicznej dla murzynów w Tuskegee, Alabama, stanął na trybunie, a słońce jaśniejące na sali odbiło się w jego oczach i na jego twarzy proroczej, Clark Howell, następca Henry Grady, rzekł do mnie: „Mowa tego człowieka jest początkiem moralnej rewolucji w Ameryce.

„Pierwszy raz murzyn przemówił z trybuny do białych; zelektryzował tłumy obojga płci, a odpowiedź zagrzmiała, jak gdyby wyszła z gardzieli trąby powietrznej.

„Orkiestra Gilmore zagrała „Sztandar gwiazdzisty“ i rozległy się wiwaty. Następnie grano „Dixie“, w końcu „Yankee-Doodle“, i dopiero wrzawa ucichła.

„Przez cały ten czas tysiące oczu zwrócone były wprost na mówcę. Miała zająć dziwna rzecz, miał przemówić czarny człowiek w obronie swoich braci. Wielki okrzyk powitał prof. Washingtona, stojącego w potokach słońca na trybunie. Śmiało zwrócił żrenice ku światłu i przemówił.

„Niepospolita to postać. Okazałego wzrostu, chudawy, prosty, jak wódz Siouxów, o wysokim czole, prostym nosie, surowych, stanowczych ustach, białych zębach, przenikliwym wzroku i rozkazującej postawie. Żył wystąpił na jego brązowej szyi, a muskularne ramię podniósł do góry, trzymając w pięści ciemnej ołówki. Głos jego rozlegał się donośnie i szczerze, a paury i akcenty wywierały wrażenie. W niespełna dziesięć minut wziął publiczność; zawrzała entuzjazmem, chustki powiewały, laski szły w górę, kapelusze chwiały się



w podniesionych rękach. Najpiękniejsze kobiety Gieorgji stawały, przyklaskując i wołając brawo. Całe audytorjum uległo jakiemuś czarowi.

„A kiedy wzniosł swą ciemną rękę nad głową i, rozszerzywszy palce, rzekł do ludów Południa o swej rasie: „we wszystkich sprawach bądźmy sobie odrębni, jak te palce, ale w sprawie wspólnego postępu złączmy się, jak ta pięść oto!”—wówczas rozległ się grzmot okrzyków i wszyscy, jak jeden mąż, powstali w szale zachwytu. W tej chwili przypomniał mi się Henry Grady, stojący w kłębach dymu hali bankietowej w Delmonico-hall i mówiący: „jestem rycerzem pomiędzy okrągłogłowami”.

„Słyszałem wielu znakomitych mówców, ale Gladstone nawet nie byłby bronił sprawy z większą mocą, niż ten kościsty murzyn, stojący w aureoli słońca, przed ludźmi, którzy kiedyś walczyli za utrzymaniem niewolnictwa. Nawet w chwili największego zapału nie zmienił się poważny wyraz jego twarzy. U drzwi sali hebanowy jakiś olbrzym śledził mówcę z ogniem w oczach i cały drżący; łzy puściły mu się po twarzy, gdy wybuchnęły oklaski. Na sali wielu murzynów płakało, może nie wiedząc nawet dla czego.

„Po skończonej mowie, generał Bullock wszedł na trybunę i uściskał dłoń zwycięzcy. Nowy grzmot oklasków towarzyszył tej demonstracji, i przez chwil kilka dwaj ci mężowie stali na trybunie, patrząc sobie w oczy, ze splecionymi rękami”.

O ile pochłaniająca mnie praca w Tuskegee pozwalała, przyjmowałem zaproszenia do stron oddalonych

zwłaszcza, tam bowiem warto było podług mnie poruszyć drogą mi sprawę mej rasy; ten przedmiot zresztą był zawsze treścią mych wszystkich przemówień. Nigdy nie pragnąłem zostać profesjonalnym prelegientem lub spekulantem, jeżdżącym dla korzyści własnej.

To prawda, że, znajdując się na trybunie, nigdy nie byłem w stanie pojąć, dla czego ludzie schodzą się, aby mnie słuchać? Na pytanie to dotychczas nie mam odpowiedzi. Za każdym razem, gdym widział tłumy, zbierające się w sali, gdzie za chwilę miałem do nich przemówić, wstyd mi jakoś było stanowić przyczynę tej straconej podług mnie godziny.

Kilka lat temu miałem się udać do towarzystwa literackiego w m. Madison, celem wypowiedzenia mowy. Na godzinę przedtem straszna śnieżycą z wichurą rozszalały się do tego stopnia, że postanowiłem zostać w domu, w przekonaniu, że odczyt chyba się nie odbędzie. Mimo to, poszedłem z obowiązku i ku zdumieniu swemu zastałem salę przepełnioną. Przez cały wieczór nie mogłem przyjść do siebie z podziwu.

Nieraz zapytują mnie, czy się czuję zdenerwowanym przed wystąpieniem, lub też, czy zubożniałem na te wrażenia. Otóż muszę przyznać, że cierpię dotkliwie na nerwy nie tylko przed każdą mową, ale po skończeniu przejęty jestem jakimś uczuciem żalu. Zdaje mi się, że opuściłem najważniejszą rzecz, którą miałem powiedzieć. Czasem jednak, kiedy po dziesięciu minutach mówienia czuję, że opanowałem istotnie słuchaczy i że kontakt między nami nastąpił, wielka radość przejmuję mnie całego. Chyba nie wiele jest na świecie rozko-



szy moralno-fizycznych, mogących dorównać temu, co czuje mówca na widok tłumu rozpalonego jego ideami. Wtedy taka silna nić spaja go ze słuchaczami, że staje się nieomal widoczną i namacalną. W tysiącnej gromadzie odczuję jedną osobę, nie sympatyzującą z moimi poglądami, sceptyczną, zimną, nieżyczliwą. Znalazszy ją, zwracam się wprost do niej i z przyjemnością obserwuję proces jej tajania. Na indywidua tego rodzaju najlepiej działają anegdoty, do których się nigdy nie uciekam, jeśli nie mają one stanowić plastycznego przykładu.

Nie należy nigdy czynić publiczności ani sobie tej krzywdy, żeby mówić dla samego gadania. Tylko ten, który w głębi swego serca czuje, że powinien się myśla swą z tłumem podzielić, niechaj mówi publicznie. Jeśli na pewno wie, że może komuś lub sprawie jakiejś pomóc, wtedy niechaj wystąpi, ale wątpię, czy w takim wypadku potrzebne są oratorskie prawidła lub jakieś deklamatorskie sztuczki. Jakkolwiek oddychanie, nacisk, pauzy i modulacja mają swe znaczenie, jednakże nic nie jest w stanie zastąpić *duszy* w mowie. Kiedy mam przemówić, chętnie puszczam w niepamięć reguły gramatyczne i retoryczne i pragnę, żeby i publiczność o tym wszystkim zapomniała.

Nic mnie tak dalece nie wyprowadza z równowagi, jak opuszczenie przez kogoś sali. Ażeby temu zapobiec, staram się tak ożywić mowę swoją, takimi wzbogacić ją interesującymi faktami, żeby każdy był przykuty do miejsca. Panuje przekonanie, że mowa publiczna musi zawierać ogólniki lub być czymś w rodzaju kazania, tymczasem ludzie chętnie sami sobie wyciągną wnioski

z tego, co słyszeli, jeśli im przedstawimy dane w takiej formie, żeby konkluzja była łatwa i naturalna.

Co do rodzaju słuchaczy, jakich mam najchętniej przed sobą, to powiedziałbym, że najmiłsze mi są stowarzyszenia ludzi dzielnych, pracowitych, z otwartą głową, jakich np. najwięcej w Bostonie, New-Yorku, Chicago i Buffalo. Nigdy nie spotkałem się z audytorjum czujniejszym, lepiej reagującym. W ostatnich latach miałem szczęście przemawiać wobec wielu naczelnich organizacji w wielkich miastach Stanów Zjednoczonych. Najodpowiedniejszą chwilą do skupienia uwagi całego towarzystwa wokoło tematu jest poobiednia; z drugiej znowu strony dla mnie osobiście niema nic bardziej nużącego jak długie kilkunastodniowe biesiady, podczas których prześladowuje mnie uporczywie przekonanie o niepowodzeniu. Wtedy także mimowoli zjawia się wspomnienie z lat dziecięcych, kiedym marzył o kawałku melasy „ze dworu“. Raz na tydzień, w niedzielę, matka dostawała od pani po kawałku melasy dla swych dzieciaków i wzdychałem wtedy do tego, żeby codzień była niedziela. Otrzymawszy kawałek, starałem się umiejętni podziałami tak go pomnożyć, aby się wydało więcej. Wspomnienie tych niedzielnych emocji tak jest silne i żywe we mnie, iż nikomu nie udałoby się przekonać mnie, że porąbany na kawałeczki cukier nie przedstawia większej ilości, niż jeden kawał w całości.

Następnie lubię bardzo przemawiać do swoich południowców jakiejkolwiek rasy. Ich zapał stanowi rozkosz dla mnie. Te wszystkie „amen“ i „oj, tak, tak“, pojawiające się tak impulsywnie i wyrywające się po prostu



z ust słuchaczy, podniecają mnie do najwyższego stopnia.

W interesie szkoły mojej zdarzało się, że dla przygotowania terenu mówiłem jednego dnia kilkakrotnie. Przed trzema laty odbyliśmy z panią Washington \*) cykl mityngów w różnych miastach, będących dawniej środowiskami plantacji niewolniczych. Trzymaliśmy się następującego systemu. Zrana przemawiałem do duchownych, nauczycieli i fachowców. Po południu pani Washington zbierała wkoło siebie kobiety, przygotowując ich umysły, wieczorem zaś odbywał się mityng masowy. Nierzadko liczba białych słuchaczy dochodziła do jednej trzeciej w audytorjum, składającym się z trzech tysięcy ludzi.

Tego rodzaju działalność wtajemniczała mnie i panią Washington w prawdziwe potrzeby ludu i warunki jego życia; mowy nasze odbywały się już to w zakładach, już domach, już kościołach, czasem nawet w warsztatach. Zachodziliśmy do więzień i do zbójeckich kryjówek. W takich warunkach mogliśmy poznać wzajemny stosunek obu ras. Rok rocznie, od lat wielu, kilka tygodni poświęconych jest tym objazdom i wytwarzają mi one atmosferę pełną błogich nadziei na przyszłość. Doświadczenie nauczyło mnie nadto odczuwać powierzchowność i nie brać się już na słomiany zapał.

Niedawno ktoś, niby znający się na tym, co mówi, wyraził zdanie, iż na sto murzynek dziesięć zaledwie jest

\*) Miss Olivia Davidson, którą niedawno przedtym poślubiłem.

cnotliwych. Nigdy chyba nie wyrażono nikczemniejszego fałszu oraz twierdzenia mniej udowodnionego i bezpodstawnego.

Przebywszy w ścisłym zetknięciu z rasą murzyńską lat dwadzieścia w samym sercu Południa, niepodobna nie dojść do przekonania, że postępy stałe pod względem materialnym, etycznym i moralnym stanowią pewnik niezbity.

Z początkiem roku 1897 udałem się do Bostonu dla wypowiedzenia mowy przy odsłonięciu pomnika dla Roberta Gould Shaw. Nie potrzeba chyba przypominać, kto był Robert Gould Shaw i co zdziałał. Pomnik wznosi się wprost parlamentu.

Uroczystości z tej okazji odbywały się w Hali Muzycznej, która szczególnie zapełniła się najwykwintniejszym towarzystwem Bostonu. Nigdy chyba jeszcze tytu ex-właścicieli plantacji nie zebrało się w jednym miejscu. Prezydującym był gubernator Massachusetts, i wielu oprócz niego znakomitych dygnitarzy Państwa zajmowało trybunę. Następujące sprawozdanie dziennika Transcript lepiej ode mnie moment ten opisze:

„Rdzeń i jądrowo wczorajszej uroczystości na cześć braterstwa ludzi w Hali Muzycznej stanowiła wspaniała przemowa Dyrektora szkoły Tuskegee, murzyna Bookera T. Washingtona, który w zeszłym roku otrzymał tytuł profesora, jako pierwszy ze swej rasy, od najstarszego uniwersytetu w kraju „za mądre kierowanie swym plemieniem“. Przy zjawieniu się M-r Washingtona w wystrojonej chorągwiach, rozgrzanej zapałem i patriotyzmem sali, każdy odczuł, że przed nim znajduje



się wcielenie dobrej sprawy, usprawiedliwienie ducha abolicjonistycznego w osobie jego, jego silnej myśli i bogatej elokwencji, każdy poznał koronę i sławę dawnych dni walk i męczeństwa. Była to piękna scena, pełna historycznej wagi i głębokiego znaczenia. Zimny Boston rozgorzał ogniem sprawiedliwości i prawdy. Tłumy i tłumy osób, nie przychodzących prawie nigdy na zebrania, rodziny całe, o tej porze zazwyczaj na wsi będące, przepełniały do ostatniego kącika salę. Cała śmietanka towarzystwa, jej pierwszorzędni obywatele, same nazwiska, którymi się szcycimy.

„Wojskowa muzyka rozbrzmiała. Owacja za owacją, oklaski za oklaskami witały oficerów i przyjaciół pułkownika Shaw, komitet, gubernatora ze świtą oraz żołnierzy murzyńskich przy wejściu do sali. Nareszcie powstał Booker T. Washington. Chwila ta była bardzo sprzyjająca. Tłum drżał z uniesienia. Z jakie dwanaście razy zerwano się, oklaskując i machając chustkami. Kiedy ten człowiek, pełen kultury, głosem swym potężnym i pięknym wspominał nazwiska Andrew i Stearns, zapal wzmożł się jeszcze. Łzy zabłyśły w oczach żołnierzy i obywateli. A gdy mówca zwrócił się do czarnych żołnierzy, do chorążego z Fort Wagner, który podczas bitwy z uśmiechem, choć ranny, do ostatniej chwili trzymał chorągiew i zawołał: „Dla was, rozproszonych i błakających się, ostatnich z pięćdziesiątego czwartego (pułku), co bez ręki lub na drewnianej nodze uczyniliście mi honor, zjawiając się tutaj, dla was dowódca wasz *nie* zginął! Gdyby mu Boston pomnika nie postawił i historia o nim zamilczała, dla was

i lojalnego plemienia, którego jesteście przedstawicielami, Robert Gould Shaw żyje i żyć będzie wiecznie w sercach waszych; tam mu wzniesiecie pomnik, którego czas nie zniszczy!“ Entuzjazm po tych słowach doszedł do zenitu; pierwsi urzędnicy Stanów zerwali się, krzycząc co sił: „Niech żyje, niech żyje, niech żyje Booker T. Washington!“

Pomiędzy słuchaczami znajdował się istotnie stary chorąży-murzyn, który podczas bitwy w Fort Wagner nie pozwolił zabrać sobie chorągwi, pomimo że połowa pułku padła w jego oczach. Po bitwie zawołał: „Nawet nie pochyliła się, nie tknęła ziemi!“

Z tą chorągwią sierżant Carney zasiadł koło trybuny, a w chwili, gdy się zwrócił do żołnierzy, pozostałych z pułku jego, on instynktownie powstał, wznosząc sztandar. Nieraz już przypadało mi w udziale być świadkiem sensacyjnych momentów podczas przemówień moich, ale pod względem dramatycznym żaden efekt temu nie dorównał. Publiczność nie posiadała się po prostu z radości.

Z okazji szczęśliwego zakończenia hiszpańsko-amerykańskiej wojny mnóstwo obchodów uroczystych odbyło się po miastach większych Stanów.

Rektor uniwersytetu w Chicago zaprosił mnie, jako mówcę, na jedną z podobnych uroczystości. W ciągu tygodnia przemawiałem dwukrotnie. W pierwszym wypadku miałem przed sobą najliczniejsze, jakie mi się dotychczas zdarzyło, audytorjum; poza tym tego samego wieczora zmuszony byłem mowę swą w dwóch innych częściach miasta dwa razy powtórzyć.



Podobno było szesnaście tysięcy ludzi na pierwszym zgromadzeniu, a drugie tyle, usiłujących się dostać. Wstęp był niemożliwy bez pomocy policji, tak zwarty tłum cisnął się do gmachu. Pierwsze miejsce zajmowali oprócz prezydenta M-c Kinleya, wszyscy ambasadory, mnóstwo wojskowych: wśród nich bohaterowie ostatnich walk i t. d. Oprócz mnie przemawiali tego dnia rabin Hirsch, Ojciec Hodnett i dr Barrows.

Chicagoski „Times Herald“ tak opisuje moją mowę:

„Booker Washington odmalował murzyna, wybierającego niewolnictwo raczej niż zagładę, przypomniał Crispusa Attucks, który krew swą przelał za wolność białych Amerykanów, gdy tymczasem murzyni jęczeli w niewoli: przypomniał pochód murzynów z Jacksonem w Nowym Orleanie, naszkicował życie i bolesny obraz niewolników Południa, poświęcających się dla swych panów, gdy ci walczyli za utrzymaniem niewolnictwa, obraz żołnierzy padających na polu walki w portach Hudson i fortach Wagner i Pillow, sławił bohaterstwo czarnych pułków, szturmujących twierdzę El Caney i Santiago dla wyzwolenia Kubańczyków: żołnierze murzyńscy zapomnieli wtedy o niesprawiedliwym odgraniczeniu, jakie ich samych od uprzywilejowanych białych dzieliło.

„W szeregu tych faz murzyni, według mówcy, odegrali szlachetną rolę. Mówca zakończył wymowną i gorącą apostrofą do sumienia białych Amerykanów: „Kiedy usłyszycie szczegółową historję bohaterskich poświęceń murzynów w hiszpańsko-amerykańskiej wojnie,

kiedy usłyszycie ją z ust żołnierza Północy i z ust żołnierza Południa, od ex-abolicjonistów i ex-panów, wtedy wejdźcie w siebie i powiedźcie, czy rasie, która chętnie umiera dla ojczyzny, powinno się dać możliwość życia dla tej ojczyzny?“

Największy zapal wywołał ten ustęp mojego przemówienia, w którym wyraziłem wdzięczność prezydentowi za jego rozporządzenia sprawiedliwe względem murzynów podczas wojny ostatniej. Prezydent zajmował miejsce w loży na prawo od trybuny. Kiedy, zwróciwszy się ku niemu, zakończyłem dziękczynny frazes, całe audytorjum powstało, krzycząc wiwat, machając kapeluszami, chustkami i laskami, prezydent zaś również podniósł się i kłaniał na wszystkie strony. Na to znów odpowiedział niesłychany zapal, i demonstracje sympatii stały się wprost nie do opisania.

Ciągłe moje objazdy i wystąpienia publiczne stały się powodem natręstwa rozmaitych indywiduów, z których największym lękiem przejmuję mnie tak zwany zbawca ludzkości, najczęściej warjat, półgłówek, zaniedbany w ubraniu. Taki jegomość zawsze posiada jeden lub kilka sposobów wybawienia ludzkości od głodu, nędzy i t. d. i pragnie tylko skłonić mnie, abym za jego wynalazkiem publicznie przemówił.

Są też inne osobistości, zabawne w opowiadaniu, ale nieprzyjemne w życiu. Razu jednego, nazajutrz po jakiejś mowie w Bostonie, budzą mnie w hotelu wiadomością, iż ktoś pragnie widzieć się zaraz ze mną. W przekonaniu, że to musi być coś bardzo pilnego, ubieram się co żywo i spieszę na dół. W czytelnici



staje obcego pana, który z niewinną miną mówi do mnie: „Słyszałem pana na wczorajszym mityngu. Tak pan mówi doskonale, że teraz przyszedł, aby jeszcze trochę posłuchać“.

Na liczne zapytania, czy szkole w Tuskegee nie dzieje się krzywda z powodu częstej nieobecności mojej, odpowiem, iż organizacja jest tak gruntowna, że powszednia praca szkoły nie zależy zgoła od obecności żadnej pojedynczej osoby. Siła wykonawcza, włączywszy nauczycieli, wynosi osób osmdziesiąt sześć. Jest ona tak rozczłonkowana i podporządkowana, że maszyna porusza się dzień za dniem, jak nakręcony zegar. Wielu nauczycieli, mieszkając i działając tu od lat wielu, interesuje się szkołą tak, jak ja sam. Moje obowiązki pełni w razie potrzeby skarbnik p. Logan, od lat siedemnastu urzędujący w Tuskegee. Dzielnie mu dopomaga pani Washington oraz sekretarz mój p. Scott. Ten ostatni załatwia całą korespondencję i trzyma mnie w ciągłej styczności z życiem szkoły. Informuje mnie również o ważniejszych wypadkach zachodzących w życiu murzynów. Więcej winien jestem jego taktowi, rozumowi i ciężkiej pracy, aniżeli wypowiedzieć zdołam.

Główna praca wykonawcza szkoły spoczywa, bez względu na moją obecność czy nieobecność w Tuskegee, w tak zwanej przez nas radzie wykonawczej. Rada zbiera się dwa razy tygodniowo, i skład jej stanowi dziewięć osób, stojących na czele dziewięciu oddziałów szkoły. Pani Bruce, na przykład, wdowa po senatorze Bruce, nasza przełożona, jest również członkiem rady i zajmuje się wszystkim, co się tyczy uczennic.

Poza radą mamy komitet finansów, składający się z sześciu osób. Komitet zbiera się raz na tydzień i jego rzeczą jest prowadzić ekonomję zakładu. Raz na miesiąc, czasem częściej, odbywa się ogólne zebranie nauczycieli. W oddziałach rolniczych kierownicy spotykają się częściej dla zadysponowania robót stosownie do pogody.

Ażebym mógł mieć ciągle rękę na pulsie mej szkoły, zaprowadzony jest porządek, według którego *muszę* mieć codzienny raport o pracy i wypadkach dnia, bez względu na to gdzie się w danym razie znajduję. W tym raporcie meldują mi nieobecność uczniów, nawet przyczynę ich nieprzyjęcia do szkoły, chorobę lub co innego. Takim sposobem znany mi jest dochód codzienny szkoły, wiem ile garncy mleka i ile funtów masła z mleczarni wyszło, jakie *menu* dnia tego podają uczniom i nauczycielom, wiem, czy podano sztukę mięsa, czy pieczyste, i czy jarzyny pochodziły z naszych ogrodów, czy też były kupione. Ludzie wszędzie są jednakowi, i pokusa bierze często wybrać ze spiżarni ryż gotowy do wrzucenia do kotła, zamiast pójść na pole wykopać i wypłukać kartofle, któreby ów ryż zastąpiły.

Często spotyka mnie pytanie, kiedy ja znajduję czas na wypoczynek lub osobistą rozrywkę i jakie lubię zabawy. Na to pytanie trudno mi odpowiedzieć. Mam to niezłomne przekonanie, że każdy osobnik obowiązany jest, zarówno względem siebie samego, jak i sprawy, której jest przedstawicielem, do utrzymania ciała swego w sile i zdrowiu, a nerwów w równowadze i krzepkim przygotowaniu do przykrości i mogących nastąpić ciosów. O ile mogę, staram się, rozkładając



porządek swej pracy dziennej, uniknąć rutyny, mechanicznego powtarzania czynności, prawie codziennie dążę naprzód i toruję sobie jakąś nową drogę. Systemem moim jest co wieczór zetrzeć na czysto tabliczkę dzienną, załatwić wszystko, co było wskazane, aby nazajutrz pójść dalej, *nową* rzecz rozpocząć. Systemem moim jest nie dać się nigdy dziełu opanować, lecz, przeciwnie, opanować nim i przez ścisłą kontrolę tak stać ponad nim w jego szczegółach, żeby stać się panem jego, nie sługą. W świadomości absolutnej władzy nad swym dziełem jest rozkosz fizyczna, moralna i duchowa, która działa niezmiernie podniecająco. Idąc za tą wskazówką, nabiera się, według mego życiowego doświadczenia, energii fizycznej i tęgości umysłowej, których czynnikiem jest właśnie ulubiona praca. Miłość dzieła swego czyni człowieka silnym i wytrwałym.

Rozpoczynając dzień, jestem pełen otuchy i w dobrym usposobieniu, a jednak przygotowuję ducha swego do niespodziewanych ciosów, jak np. pożar szkoły lub coś podobnego.

Po dziewiętnastu latach pracy zakosztowałem raz wakacji. Było to dwa lata temu. Jakiś przyjaciel wręczył mi sumę, przeznaczoną na trzymiesięczny pobyt mój w Europie. Jak rzekłem, uważam, że czuwanie nad swym zdrowiem fizycznym jest obowiązkiem człowieka. Zwracam uwagę na drobne niedomagania, w przekonaniu, że to uchroni mnie od wielkich. Kiedy, na przykład, spać nie mogę, widzę, że coś jest w nieporządku we mnie. Wtedy badam zmiany zaszłe w organizmie i posłusznie wykonywam przestrogi swego lekarza.

Powiedziawszy wyżej, że prawidłem moim jest zakończyć każdego dnia przypadającą nań robotę, zapomniałem wyłączyć kwestję, wymagającą zastanowienia. W takich wypadkach wolę przeczekać noc, poradzić się ze swojemi, a dopiero coś postanowić.

Co się tyczy czytania, to najlepiej lubię czytać książki w podróży. Niestety za wiele czytam dzienników, gdyż fikcje zgoła mnie nie zajmują. Niekiedy zmuszam się do przeczytania powieści, będącej na ustach każdego. Lubię czytać prawdziwe opisy prawdziwych ludzi. Nie przesadzę, utrzymując, że nie obcy mi jest najmniejszy szczegół z życia Abrahama Lincolna. Jest to mój patron w literaturze. Częste podróże odrywają mnie, co prawda, od zajęcia, ale dostarczają rozmaitych wrażeń, rozrywki, i gdyby nie co krok to straszne: „Ah, pan Booker T. Washington? Pozwól pan, że mu się przedstawię“, kontent byłbym, że się tak często odrywam od drobnostek powszedniego życia w szkole. Z pewnego oddalenia sądzę rzeczy jakoś szerzej i głębiej, niż na miejscu. Zdobywam, też, podróżując, sposobność zaznajomienia się z innemi poglądami i systemami wychowawczemi. Największą wreszcie dla mnie przyjemnością, prawdziwie słodkim wytchnieniem są chwile, które spędzam w gronie rodziny. Wieczorem czytujemy sobie głośno po kolei, czasami w święta idziemy do lasu, gdzie nikt nam nie przeszkadza, a tylko świeży powiew roślin nas otacza i ptaków świegot nasze uszy pieści. Tak pojmuję wytchnienie.

Ogródek mój jest także źródłem wielkiej dla mnie uciechy, choć nadzwyczaj mało czasu poświęcić mu mogę.



Mimo to, jak tylko zdołam uwolnić się na chwilę od biurka, dążę do ogródka bodaj na półgodzinki i pieląc, okopując, sadząc, czuję, że stykam się z czymś, co dodaje mi siły do zniesienia wielu przykrości tam, na wielkim świecie. Żal mi tych ludzi, co nigdy ukojenia nie szukali w pracy nad ziemią.

Poza mnóstwem szkolnego drobiu i domowych zwierząt, hoduję sam dla siebie pewną liczbę ptactwa i nierogaczyny najlepszych ras, co mi wielką sprawia przyjemność. Wieprz jest chyba najmilszym mi domowym zwierzęciem. Uważam piękny egzemplarz Berkshire Inb Poland China za ozdobę inwentarza.

Gier nie znam wcale. Nigdy nie widziałem gry w karty, odróżnić nawet jednej od drugiej nie potrafię. Partja szachów kiedy niekiedy z którymś z moich chłopaków—oto cała moja umiejętność w tym kierunku. Zdaje mi się, że byłbym może i lubił gry, gdybym był kiedykolwiek w młodości miał czas im się oddawać.

## ROZDZIAŁ XVI.

### Europa.

Pani Washington jest wierną towarzyszką mej pracy. Nietylko dzięki doskonałej znajomości rzeczy zastąpić i wyręczyć mnie może, ale samodzielnie wprowadziła w życie różne urządzenia, mające dobro zakładu na celu. W mieście Tuskegee urządziła mityngi matek, stowarzyszenia robocze dla kobiet i dzieci, żyjących w osadach nieopodal zakładu. Oprócz korzyści konkretnych, urządzenia te dają materiał do nauki o rzeczach i wiele pożytecznych wskazówek dla uczniów na przyszłość.

Oprócz tego kobiety, żyjące w szkole i poza jej obrębem, schodzą się raz na dwa tygodnie, aby obgadać bieżące sprawy ważniejszej natury. M-rs Washington prezyduje również stowarzyszeniu murzynek Południa i jest referentką w Komitecie wykonawczym narodowej federacji kobiet murzynek.

Najstarsza z mych córek jest krawcową; bardzo przytym zdolna do muzyki, już rozpoczęła pracę pedagogiczną w Tuskegee.



Baker Taliakferro, syn mój pierworodny, posiadał już umiejętność robienia cegły i jest kamieniarzem. Jeszcze maleńkim chłopięciem dzielił czas swój między naukę szkolną i ceglarstwo, dziś ma wielkie zamiłowanie do swego zawodu.

Najmłodszy Ernest chce zostać lekarzem. W chwilach tedy wolnych od zajęć szkolnych towarzyszy naszemu szkolnemu lekarzowi, dopomaga w pielęgowaniu chorych i tym sposobem ćwiczy rękę i nerwy do przyszłego zawodu.

Kilku moich przyjaciół zauważyło we mnie podczas ostatnich wystąpień publicznych pewne znużenie i zebrało sumę odpowiednią na podróż trzy-czteromiesięczną do Europy dla mnie z żoną. Główną rolę w tej przyjacielskiej akcji odegrał stary druh mój, Francis J. Garrison, który już na rok przedtem odebrał ode mnie przyrzeczenie, że wybiorę się do Europy.

Wszystko załatwiło się tak prędko, że ledwo mogłem się opamiętać. Osiemnaście lat zeszło mi na ustawicznej pracy w szkole i sądziłem, że do końca życia tak będzie. Z każdym dniem obecność moja wydawała mi się bardziej konieczną w Tuskegee i wyraziłem przyjaciołom moim obawę o finansowe położenie szkoły na wypadek mego wyjazdu. Odpowiedzią na to były nowe starania, których owocem okazała się suma, zabezpieczająca na kilka miesięcy potrzeby zakładu. Wobec takich dowodów życzliwości, niepodobieństwem było dłużej się opierać. Żadnej furtki mi nie zostawiono.

W głębi serca mego cała ta sprawa wydawała mi się snem bardzo wyraźnym i długo nie mogłem prze-

konać siebie samego, że to była rzeczywistość. Urodziwszy się w przepaściach niedoli, ciemnoty i niewolnictwa, nie zaznawszy w latach dziecięcych najmniejszych wygod, głodny, znużony, obdarty, przez długi czas nie wiedziałem, jak się zachować przy stole, a zbytki zdawały mi się przeznaczone dla białych, nigdy dla murzynów. W oczach moich Europa, Paryż, Londyn równały się pojęciu o niebie. Jakże więc miałem uwierzyć swej podróży? Takie myśli szły wciąż ze mną.

Inne myśli jeszcze niepokoiły mnie. Nie życzyłem sobie, ażeby o nas pomyślano, że się nam w głowach poprzewracało, że małpujemy bogaczy, jak to często u murzynów bywa. Sumienie wymawiało mi oderwanie się od obowiązków. Miałem się za samoluba i małego serca człowieka za to, że śmiałem myśleć o rozrywkach, gdy inni pracują i gdy tyle biedy na świecie. Zresztą, nie umiałem poprostu myśleć o próżnowaniu i nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. W maju wyruszyliśmy wreszcie z New - Yorku, wyprawieni najtroskliwiej przez pana Garrisona. Na pokładzie spotkała nas miła niespodzianka w postaci listowej obietnicy dwóch szlachetnych dam postawienia nowego gmachu roboczego dla dziewcząt w Tuskegee.

Uczucie, przejmujące mnie podczas przeprawy, można było nazwać rozkoszą połączoną z przerażeniem. Podróżni znali nas i okazywali wiele czci, zarówno jak załoga z kapitanem na czele.

Z chwilą gdy statek wyruszył na pełne morze, cały ciężar, niepokój, wszelka odpowiedzialność ciężąca na mnie przez lat osiemnaście, wszystko na raz zważyło mi



się z karku; po raz pierwszy w życiu poczułem się lekki, bez kłopotów, i trudno wyrazić na papierze błogość, jaką mnie ogarnęła. W głębi rosło przeczucie mających nastąpić wrażeń. I znowu wrażenie snu raczej niż rzeczywistości.

Spałem po *piętnaście* godzin na dobę podczas tej podróży dziesięciodniowej i to dało mi do zrozumienia, jak dalece zmęczonym być musiałem. Na lądzie stałym również mocno i długo sypiałem. Zbudziwszy się rano, oddawałem się wrażeniu oczekującego mnie wypoczynku; żadnych trosk, terminów, pociągów co chwila innych, żadnych przemówień. Nie tak, jak w Ameryce, gdzie zdarzało mi się w trzech rozmaitych łóżkach jedną noc przepędzić.

Wylądowaliśmy w starożytnym mieście belgijskim, Antwerpii. Nazajutrz obchodzono tu jedno z niezliczonych świąt, jakie tu mają zwyczaj uroczystie święcić. Okno nasze wychodziło na rynek, dzień był prześliczny. Widok tłumów, nadchodzących z różnych okolic z pękami kwiatów na sprzedaż, kobiet, którym psy woziły mleko w glinianych dzbanach, i fali ludu, wpływającej do katedry — napełniał mnie jakimś uczuciem nowości, obcym mi do tej chwili.

Po kilkodniowym pobycie w Antwerpii, udaliśmy się do Holandji na zaproszenie kilku artystów amerykańskich. Wycieczka po malowniczym kraju w starożytnym czółnie, powoli się posuwającym, dała nam wiele uciech i była zarazem istotnie pouczającą. Tak dojechaliśmy do Rotterdamu, dalej do Hagi, gdzie przedstawiciele Ameryki w konferencji pokoju mile nas przyjęli.

Następnie udaliśmy się prosto do Paryża, gdzie mieszkanie dla nas było już zamówione przez pocztowych przyjaciół. Ledwośmy się trochę tam urządzili, gdy nadeszło zaproszenie od klubu uniwersyteckiego paryskiego na bankiet. Oprócz nas mieli być: ex-prezydent Stanów Benjamin Harrison i arcybiskup Irland, wypadkowo także w Paryżu bawiący. Przewodniczył bankietowi ambasador amerykański, generał Horacy Porter. Przemawiałem na uczcie, poczym generał Harrison poświęcił szereg uwag mojej działalności i wpływowi mego zakładu w Tuskegee. Wszystkim innym, licznym bardzo zaproszeniom odmówiłem.

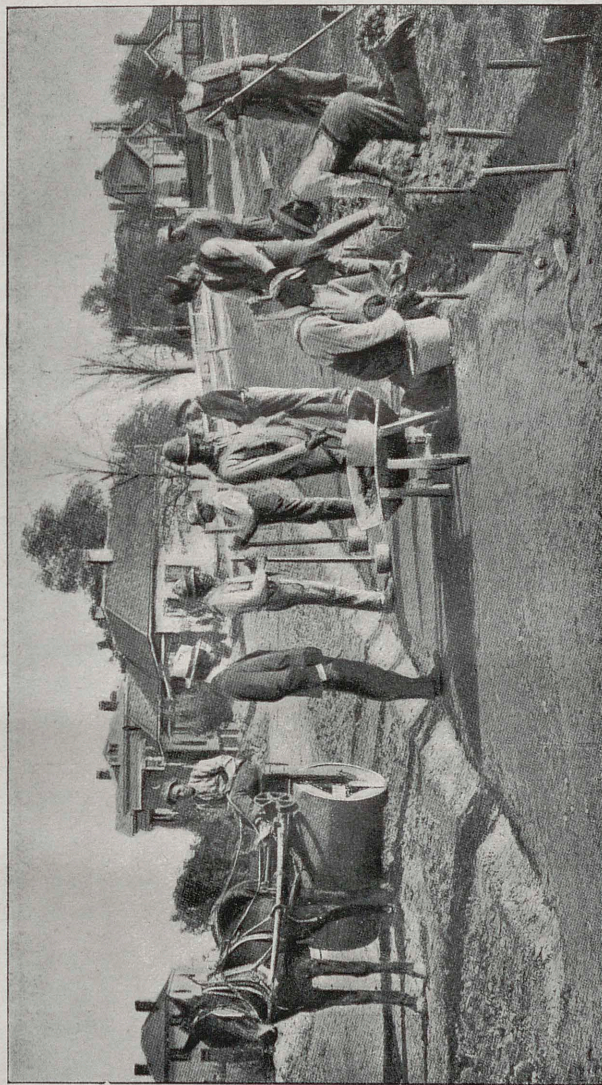
Przyjemnie nam było przekonać się osobiście o powodzeniu, jakim w Paryżu cieszy się malarz, murzyn Tanner. Powodzenie to utrwaliło mnie jeszcze w moim mniemaniu, że każdego człowieka, bez względu na jego rasę, spotkać musi uznanie w stosunku do jego zasług. Trzeba umieć zwyczajną rzecz zrobić nadzwyczajnie dobrze, tak, ażeby nikt lepiej nie potrafił, wtedy jest się niezbędnym i oddaje się usługi niezastąpione. Takim duchem byłem ożywiony, kiedy mi kazali wyszorować szkołę w Hampton; czułem wówczas, że przyszłość moja cała zależy od dokładności, z jaką sprzątnę szkołę i postanowiłem dokonać roboty tak, żeby uniemożliwić najdrobniejszy zarzut. Patrząc na piękny obraz, mało kto zastanawia się nad pochodzeniem autora, wszystko mu jedno, czy to Murzyn, czy Francuz, czy Grek. Główna rzecz, że twórca dokonał dzieła pożytecznego dla świata.



Przyszłość każdej, a zatym i mojej rasy zależy przede wszystkim od tego, czy zdolna jest oddać usługi tego rodzaju, aby jej niezbędność w danym społeczeństwie jawnie wystąpiła i czy do wspólnego całemu krajowi dobrobytu silnym krokiem dąży? Żaden osobnik, żaden naród, mogący przyczynić się do materialnego, moralnego i umysłowego rozwoju społeczeństwa na dłuższy dystans lekceważonym być nie może; jest to prawo ludzkie może jeszcze dotąd niedostatecznie uznane.

Chęć zabawy i ciągle podniecenie Francuzów zrobiły na mnie wrażenie. Zresztą nie zdaje mi się, żeby pod względem energii i innych cech żywotnych przewyższali moich ziomków; są daleko oszczędniejsi, ale i u nas staną się takimi z czasem. Pod względem społecznego dla zwierząt rasa moja wyprzedza Francuzów stanowczo. Wogóle, opuszczając Francję, byłem pełen otuchy i pewniejszy co do losów przyszłych murzyna w Ameryce, niż kiedykolwiek.

Do Londynu przybyliśmy z początkiem lipca, to jest w samym blasku sezonu towarzyskiego. Posiedzenia parlamentarne odbywały się i pełno wesołości wszędzie. Dzięki p. Garrisonowi i innym przyjaciółom zaopatrzeni byliśmy w mnóstwo listów; oprócz tego poinformowali oni licznych swych znajomych w królestwie Brytanji o naszym przyjeździe, tak że wkrótce zalani zostaliśmy powodnią różnych zaproszeń prywatnych i publicznych dla wygłoszenia mów. Większości nie mogłem zadośćuczynić, pragnąc—jak wiadomo—wytchnienia. Jednakże z konieczności wypadło mi przemówić na urządzonym dla mnie przez członków parlamentu mi-



NAPRAWA DROGI (TRAKTU) POD NADZOREM NAUCZYCIELA.



tyngu, i treść mej przemowy została przez wszystkie dzienniki powtórzona. Tam spotkałem się po raz pierwszy z Markiem Twainem. Ugaszczali nas kolejno najznakomitsi abolicjoniści Anglii, osobiści znajomi Wiljama Lloyd Garrisona i Fryderyka Douglassa.

W mieście Bristolu przemawialiśmy z panią Washington w Klubie kobiet wolnomyślnych, a następnie w Królewskim Kolegium ociemniałych. Przemowom tym, które miały miejsce w Kryształowym Pałacu przewodniczył książę Westminster, najbogatszy człowiek w Anglii, jeśli nie na całym świecie. Braliśmy też udział w kongresie międzynarodowym kobiecym, gdzie poznailiśmy wiele osób interesujących.

Miałem też sposobność rozmawiać ze Stanleyem o Afryce i poznać jego poglądy na murzynów. Z rozmowy tej wyciągnąłem wniosek, iż dla murzynów amerykańskich niema nadziei poprawy losu w razie ich emigracji do Afryki.

Domowe życie Anglików podobało mi się nad wszelki wyraz. Dziwnie brzmią tytuły oddawane panom i paniom domu przez służbę. Angielski służący wie, że nigdy niczym innym, jak służącym nie będzie, ale w tej sztuce doszedł do perfekcji niedoścignionej dla Amerykanina. U nas każdy sługa liczy na to, że wkrótce sam będzie panem. Który system lepszy? Nie śmiem odpowiedzieć.

Niepomiernie też dziwiło mnie wielkie poszanowanie Anglików dla praw i porządku, i zachwycali mnie dokładność i precyzja, z jaką wszystko dokonane jest w tym kraju. Anglicy nigdy się nie spieszą, osobiwie



przy jedzeniu. Przytym nie jestem pewien, czy nie załatwiają tyleż, co my, wiecznie zgorączkowani Amerykanie.

Odwiedziny moje w Anglii przejęły mnie też żywą sympatią dla szlachty. Nie miałem wyobrażenia przedtym o miłości i poważaniu, jakie wzbudziła ta klasa w tłumach, a także nie zdawałem sobie sprawy z ich serdecznego i szlachetnego sposobu traktowania spraw filantropijnych.

Trudno mi było przyzwyczaić się do angielskich słuchaczy. Przeciętny Anglik jest poważny i tak wszystko serjo traktuje, iż np. po opowiedzeniu anegdoty, nad którą w Ameryce pokładaliby się ze śmiechu, Anglicy patrzyli mi w oczy prosto, nie drgnąwszy nawet obliczem.

Ale za to, kiedy cię Anglik polubi i przyjaźnią obdarzy, to więzy te są jakby stalowe, i żadne inne przywiązanie nie daje takiego zadowolenia i nie jest tak trwałe.

Po trzymiesięcznym pobycie w Europie odpłynęliśmy z Southampton na parowcu St. Louis. Posiada on śliczną bibliotekę, dar obywateli St. Louis. Między innymi znalazłem tam biografię Fryderyka Douglassa, która specjalnie mnie zainteresowała ustępem, opisującym traktowanie tego zacnego murzyna na statku przez podróżnych. Nie wolno mu było wejść do kajuty, ale musiał wciąż przebywać na pokładzie. W parę chwil po przeczytaniu tego przykrego epizodu zbliżyło się do mnie grono osób z prośbą o wypowiedzenie mowy na koncercie, mającym się odbyć następnego wieczoru. I są ludzie, którzy utrzymują, że nienawiść rasowa nie

zmniejszyła się w Ameryce! Po bardzo udanym wieczorze zebrano sporą sumę na Tuskegee.

Jeszcze za bytności mej w Paryżu, obywatele Wirginji Zachodniej, kolebki mojej, zaprosili mnie uroczyście dla uczczenia zasług moich. Na jednym zaproszeniu podpisali się członkowie gminy, drugie pochodziło od gremjum redaktorów i urzędników miasta Charleston. Trudno mi tu powtórzyć pełne uniesień pochwały i serdeczność zaproszenia, któremu na dzień oznaczony zadość uczyniłem. Cały dzień następny zeszedł na owacjach, powitaniach, przemowach, odznaczeniach wobec nieprzejrzanego tłumu widzów i słuchaczy.

Podobne przyjęcia zgotowały mi miasta Gieorgia Nowy Orlean.

---



## ROZDZIAŁ XVII.

### Ostatnie słowa.

Przed podróżą moją do Europy zaszło kilka ważnych dla mnie wydarzeń. Co prawda, życie moje pełne było niespodzianek, ale chyba życie każdego człowieka przedstawia szereg nieprzewidzianych podniet, jeśli będzie wiernym zasadzie, że należy każdy dzień swego życia podnieść do możliwie wysokiego ideału poświęcenia i czystości. Żał mi człowieka czarnego lub białego, który nie doświadczył w życiu błogiej radości, jaką sprawia uczynienie kogoś szczęśliwym lub pożytecznym.

Na jakie pół roku przed śmiercią generał Armstrong, od roku już sparaliżowany, objawił chęć odwiedzenia raz jeszcze Tuskegee. Pomimo trudności, jakie sprawiała choroba jego, życzeniu umierającego ustąpił i sprowadzono go do nas.

Właściciele kolei Tuskegee, biali bez wyjątku, wyrazili gotowość zbudowania za darmo toru specjalnego z ostatniej stacji na samo miejsce.

Generał przybył o dziewiątej wieczór; ktoś wniósł projekt powitania go orszakami z pochodniami i ten towa-

rzyszył dostojnemu gościowi. Z jakie tysiąc uczniów po obu stronach tworzyło szpaler iluminowany; wrażenie było tak wielkie, że generał oniemiał z radosnego wzruszenia.

Dwa miesiące spędził z nami starzec i, jakkolwiek zupełnie pozbawiony władzy w członkach, nieustannie kombinował nowe dla nas udoskonalenia i nowe drogi, prowadzące do rozwoju Południa. Ciągłe przebywanie z tak zaciętą duszą jeszcze bardziej przejęło mnie zapałem dla sprawy tak przez niego umiłowanej. Postanowiłem poświęcić jej życie swoje do ostatniego tchnienia.

Wróciwszy do domu, generał Armstrong po krótkim czasie zakończył swe piękne życie. Następcą jego w Hampton został Dr. Hollis B. Frissel. Pod jego jasnym, silnym i nieomal doskonałym kierunkiem Hampton dosięga ideałów wymarzonych przez założyciela gien. Armstronga.

Znów przypada mi przytoczyć niespodziankę, tym razem chyba największą, jaką mnie spotkała. Oto uniwersytet Harvard w Cambridge, udzielając mi tytułu honorowego, prosił zarazem o przybycie osobiste dla uroczystego przyjęcia na dzień 24 czerwca.

Tego to już nawet nie przypuszczałem w snach swoich, że zaszczycony zostanę odznaczeniem przez najstarszy uniwersytet amerykański. Siedząc na ganku z listem w ręku, zapłakałem. Całe moje dawniejsze życie, życie niewolnika na plantacjach, praca w kopalniach, głód i chłód lat dziecięcych, noclegi pod mostkiem, walka o naukę, straszne dni niepewności już w Tuskegee, kiedy nie wiedziałem co począć bez dolara, ostracyzm



i niedola mej rasy — wszystko to, przesunęło się przed moimi oczami i wytrąciło z równowagi.

Nigdy nie dbałem o to, co ludzie nazywają sławą. Jeżeli uznawałem jej potrzebę niekiedy, to tylko dla czynienia dobrze,

Wręczono mi tytuły honorowe z rozmaitemi ceremoniami, z okazałością i w obecności najwyższych dygnitarzy naukowych i innych. Po wielu adresach i przemowach, powstałem dla wyrażenia podziękii za niepospolite odznaczenie. Oto kilka zdań z mojej mowy.

„W zakłopotaniu moim dzisiejszym sprawiłaby mi ulgę świadomość, że, bodaj w małym stopniu, na wielki spotykający mnie zaszczyt zasłużył. Dla czego panowie kazaliście mi przybyć tutaj z czarnego pasu Południa, z pośród ubogiego ludu mojego — nie umiem sobie wyjaśnić, chyba że nie mylę się, przypuszczając, iż pobudką waszego czynu była chęć dokonania tak ważnego, tak potężnego w skutkach zbliżenia się was silnych, uczonych, bogatych do nas najuboższych, najciemniejszych, najpokorniejszych. Czyn ten wasz podziela jak ożywcza rosa; dłoń wasza, wyciągnięta do nas, wesprze podnoszący się naród. Uczynić widomą nędzę murzynów z pól bawełnianych Alabamy dla bogaczy Beaconstreet, było zadaniem, które rozwiązał uniwersytet Harvard nie przez zstąpienie do nas niższych, ale przez wzniesienie ich do siebie.

Jakkolwiek całe życie moje było dotychczas jednym dążeniem do lepszego bytu mej rasy, odtąd zapewniam Was, panowie, że swe usiłowania podwoję, aby sprowadzić zbliżenie obu plemion. W ekonomji przy-

rody jedna jest norma, według której osobnik powinien postępować, aby zapewnić sobie powodzenie, jedna także dla rasy całej. W tym kraju wymagają, aby wszyscy stosowali się do amerykańskiego szablonu. Jeszcze zatym z pół wieku przedzie, zanim murzyni przetopią się w tyglu amerykańskich wymagań.

Trzeba nam złożyć egzamin z cierpliwości, wytrwałości, z siły do zniesienia krzywd, do oparcia się pokusom, z oszczędności, z nauk i przemysłu, z handlu i rzemiosł, z umiejętności odróżnienia pozorów od istoty, wyglądu od treści, trzeba nam urość i być małemi, nauczyć się wszystkiego a pozostać skromnemi, wzniesć się wysoko a służyć wszystkim“.

Wszystkie pisma jednomyślnie przyznały uniwersytetowi Harvard wielką zasługę inicjatywy w odznaczeniu murzyna. Między głosami były zdania następujące :

.....„Nie dla tego odznaczono Washingtona, że jest murzynem, lub że się urodził w niewolnictwie, ale że w dziele swego życia w sprawie podniesienia ludu swego okazał gienjalną twórczość i szeroki humanitarny umysł, który każdemu, czy biały, czy czarny, nadaje piętno wielkości“.

.....„Ktokolwiek śledził bieg dziejów Tuskegee, musi podziwiać odwagę, upór i wspaniały, zdrowy rozum Booker T. Washingtona. Uniwersytet Harvard mocen jest zaszczyścić tytułem byłego niewolnika, ale jego działalność dla ojczyzny i rasy ocenić może przyszłość dopiero“.



Jeszcze w początkach swej pracy w Tuskegee postanowiłem sobie w głębi serca założyć szkołę tak pożyteczną dla kraju, żeby prezydent Stanów Zjednoczonych przybył ją zwiedzić. Śmiały ten zamiar pieściłem długo w swych nadziejach, nie mając odwagi wyjawienia go komukolwiek.

Pierwszy krok w tym kierunku poczyniłem w listopadzie 1897 z okazji inauguracji nowego rolniczego gmachu naukowego u nas, gdzie studia teoretyczne miały się łączyć z praktycznymi ćwiczeniami. Minister rolnictwa Wilson wypowiedział mowę i wkrótce po tym doszło do mej wiadomości, że prezydent M-c Kinley wybiera się do Altanty i Gieorgji celem wzięcia udziału w uroczystościach święcących pomyślne zakończenie wojny hiszpańsko-amerykańskiej. Byłem wtedy właśnie wraz z towarzyszami swemi pogrążony w pracy nad nowym typem szkoły, według mnie bardzo dla Południa pożądaną, i zapragnąłem skorzystać z pobytu prezydenta, aby go zaprosić wraz z ministrami. Udałem się do Washingtonu i w białym domu oczekiwałem audjencji. Poczekalnie pełne były interesantów, i odwaga opuściła mnie; straciłem nadzieję dostania się do prezydenta. Jednak, przesławszy kartę, usłyszałem po kilku minutach, że M-r M-c Kinley mnie prosi.

W jaki sposób człowiek może przyjmować takie mnóstwo rozmaitych osób, słuchać ich rozlicznych prośb, załatwiać tak ciężkie sprawy, a mimo to zachować tak wielki łagodny spokój—nie mogę pojąć. Przedewszystkiem prezydent wyraził mi podziękowanie za moją działalność. W krótkich słowach wypowiedzia-

łem mu cel swej wizyty, kładąc nacisk na to, że wpływ jego odwiedzin nie tylko będzie podniecającym dla szkoły, ale cały naród napełni dumą i radością. Nie przyrzekając mi nic stanowczego na razie, prezydent prosił o przypomnienie mu tej sprawy we właściwym czasie.

Właśnie wtedy zaszły pewne nieporozumienia pomiędzy białymi i czarnymi i sytuacja jątrzyła się coraz bardziej, kiedy wypadło mi po raz drugi złożyć M-c Kinleyowi wizytę. Bardzo przygnębiony smutną wieścią, postanowił umyślnie wyjechać do Tuskegee, uwzględniając uwagę moją, że w tym stanie rzeczy żaden środek nie mógłby działać tak kojąco, jak jego osobiste manifestacyjne zajęcie się nieszczęsnym narodem.

Na wieść o mającej nastąpić wizycie cała nasza okolica jęła przystrajać się i przygotowywać do uroczystego przyjęcia głowy kraju. Mnóstwo komitetów białych pospołu z czarnymi, tworzących się w tym celu, a także wiele prywatnych osób zasypywało mnie ofertami zasiłków; każdy pragnął przyczynić się do uświetnienia tej ważnej chwili. Wraz z prezydentem przybyli towarzysze jego pracy z żonami lub rodziną całą i wielu korespondentów pism. Skład sądu apelacyjnego, będącego wówczas na kadencji w Montgomery, postanowił dnia tego odłożyć sądenie i zwiedzić wspólnie z rządem nasze zakłady. Gubernator Alabamy oraz inni wyżsi urzędnicy asystowali uroczystości.

Całą drogę, od stacji do szkoły, mieszkańcy miasta ślicznie udekorowali. Wystawa pracy uczniów, urządzona sposobem synoptycznym w szeregu pochodów, dawała obraz kolejnego rozwoju i coraz to doskonals-



szych metod pracy. Na wózkach, ciągnionych przez konie, woły i muły, przeciągały niby tratwy, na których widziano np. pierwotne prowadzenie mleczarstwa i ulepszenia coraz większe, początkową orkę w zestawieniu z obecną, pierwsze próby kucharskie i gospodarskie i obecne nasze gospodarstwo. Przejście orszaku trwało półtorej godziny.

W mowie swojej prezydent dziękował serdecznie za jedyne w swoim rodzaju wrażenie, jakiego doznał na widok instytucji, tak do żadnej innej na świecie niepodobnej. Z serdecznym uznaniem zwrócił się na zakończenie do mnie. Minister marynarki rzekł między innymi:

„Niepodobna dziś mówić zwykłymi słowami. Serce nasze tak pełne—pełne nadziei, dumy i podziwu dla ziomków obu ras! Ile wdzięczności czujemy dla dzieła tak potężnego, ile zaufania do niezawodnego rozwoju i, co za tym idzie, rozwiązania tak zawiłego problemu rasowego. Tak, problemat już jest rozwiązany. Obraz, jaki się dziś przed nami przesunął, winien zająć miejsce obok wizerunków Washingtona i Lincolna dla przyszłych pokoleń i czasów. Cała prasa niech opisze ludom widok prezydenta Stanów Zjednoczonych, gubernatora Alabamy i przedstawiciela czarnych, wczoraj jeszcze niewolników, prezydenta technicznej i realnej szkoły w Tuskegee!“.

Generał Smith rzekł:

„Byliśmy świadkami wielu widowisk w ostatnich czasach. Widzieliśmy wspaniałe wykończenie jednego z wielkich miast Południa. Widzieliśmy pochód boha-

terów wojny. Widzieliśmy parady i manewry, wystawy okazałe. Ale chyba towarzysze moi zgodzą się ze mną, iż nie było bardziej wzruszającego, podniecającego, napędzającego otuchą na przyszłość obrazu, jak ten, który dziś oczy nam łąza zaćmił“.

W kilka dni po wyjeździe prezydenta, z kancelarii jego nadszedł list do mnie, pełen najgorętszych wyrazów podzięk i uznania za jedyny w swoim rodzaju, niebywale artystyczny i wysoce plastyczny obraz, jaki roztoczono przed nim.

Oto lat dwadzieścia mija, kiedy uczyniłem pierwszy skromny wysiłek w Tuskegee, w zapadającym się obszarzanym kurniku, bez dolara w kieszeni, z jednym nauczycielem i trzydziestu uczniami. Obecnie zakład posiada dwa tysiące trzysta akrów gruntu, których siedemset pod roczną uprawą samych uczniów. Mamy budynków na własnym gruncie czterdzieści, za wyłączeniem czterech, wszystkie własną uczniów ręką wzniesione. Podczas pracy rolnej, technicznej etc. stosują przy pomocy i wskazówkach nauczycieli ostatnie wyniki nauk specjalnych.

Dwadzieścia ośm oddziałów przemysłowych jest u nas w ciągłym ruchu, niezależnie od równoległe z nimi idących klas szkolnych; każdy uczeń obowiązany jest obok przedmiotów naukowych wydoskonalić się w jakimś fachu.

Natychmiast po ukończeniu nauki, wychowawcy naszych zakładów otrzymują miejsca płatne, bieda tylko, że możemy zadość uczynić zaledwie połowie żądań zarówno osób pragnących pracowników naszych, jak też



kandydatów do szkoły. Niestety, coraz więcej brak miejsca dla pragnących wstąpić do nas na naukę.

Co się tyczy technicznego kształcenia, mamy trzy zasady, których się wiernie trzymamy.

Po pierwsze, dać wychowawcowi naszemu możliwość znalezienia się w warunkach wymagalnych obecnie w danym otoczeniu, t.j. żeby *umiał* zrobić to, czego wymagają.

Po drugie, żeby każdy zdobył sobie takie moralne podstawy charakteru, aby sama osobistość jego stanowiła czynnik kulturalny otoczenia.

Po trzecie, żeby każdy przejął się głęboką wiarą w istotną godność i piękność pracy fizycznej, żeby kochał tę pracę, nie zaś jej unikał.

Poza ogólnym kształceniem agronomicznym dla obu płci i nauką domowego gospodarstwa dla dziewcząt mamy kursy ogrodnicze, owocowe, warzywne, mleczarskie, pszczelne i hodowlę drobiu.

Wartość naszej posiadłości dochodzi obecnie do 300,000 dolarów, nie licząc funduszu 215,000 dolarów, czyli razem pół miliona. Roczne nasze wydatki wynoszą 80,000 dol., które wciąż jeszcze osobiście zbieram. Uczniów mamy tysiąc sto z dwudziestu siedmiu Stanów oraz z Afryki, Kuby, Porto-Rico, Jamajki i innych stron dalekich. Nauczycieli i oficjalistów mamy ośmdziesięciu sześciu, a jeśli doliczymy ich rodziny, nabierze się z jakie tysiąc czterysta stałych mieszkańców naszego państewka.

Niejednokrotnie zapytują mnie, w jaki sposób, przy tak liczonym składzie personelu, możemy uchronić się od

nadużyć. Na to są dwie odpowiedzi: raz, że ci, co do nas przychodzą, mają zamiary poważne i pragną tylko wykształcenia, a następnie, że nikt ani chwili nie próżnuje.

Staramy się wciąż mieć w pamięci fakt, że sądzić nas będą według wychowawców naszych. Rachując tych, którzy pełny kurs ukończyli, i tych, co po jakimś czasie nauki uzdolnili się do porządnej pracy, możemy napewno twierdzić, że przynajmniej trzy tysiące ludzi obojga płci wyszło z Tuskegee i pracuje obecnie po całym Południu. Każdy z nich dając sam przykład własnym życiem, różnymi drogami poza tym usiłuje doskonalić swą rasę i prowadzi ją do życia lepszego, moralniejszego i wygodniejszego.

Panując nad swemi porywami, zaopatrzeni w pewien zapas zdrowego poglądu, nasi wychowawcy przyczyniają się do utworzenia przyjaźniejszych stosunków między obiema rasami, i dzięki temu wszystkiemu biały mieszkanięc Południa zmuszony jest wierzyć w zdolność i wartość murzynów. Poza tym, ciągłe zebrania matek oraz robotniczy związek w plantacji, prowadzone przez panią Washington, niemało się przyczyniają do uszlachetnienia ludności.

Gdziekolwiek uczniowie Tuskegee się pojawiają, tam w ślad za nimi dążą: nabywanie gruntów, doskonalenie uprawy ziemi, budowa domostw, oszczędność, wychowanie i kultura charakteru. Całe gminy ulegają ewolucji dzięki ludziom myślącym i ożywionym wyższymi celami, jakimi są Tuskegeecyzcy.

Dziesięć lat temu zorganizowałem pierwszy zjazd murzynów w Tuskegee. Odtąd corocznie sprowadza



on nam do tysiąca przedstawicieli rasy, którzy zjeżdżają się do nas, aby zastanowić się nad wszelkiego rodzaju aktualnymi warunkami swego narodu i aby ułożyć program celem zapobieżenia złu, i doskonalenia ciągłego urzędzeń istniejących. Z łona głównego zjazdu wykwitły liczne pomniejsze miejscowe zjazdy, gdzie podobne rozstrząsają się zagadnienia. Jeden z naszych delegatów oznajmił nam ostatniego roku, iż owocem tych zebrań było zakupienie w jego gminie własnych domów przez dziesięć rodzin. Nazajutrz po zjeździe odbywa się narada pracowników. Tę składają nasi urzędnicy i nauczyciele różnych prowincji Południa, gromadzący się raz na rok w Tuskegee dla obgadania spraw pedagogicznych, przyczym spotkanie się z uczestnikami zjazdu nie mało korzyści oddaje, jak każde zresztą bezpośrednie zetknięcie się różnych żywiołów społecznych.

Latem 1900 r. założyłem wspólnie z M-r Fortune, murzynem, stałym sprzymierzeńcem moich planów, Narodową Ligę pracy murzyńskiej. Pierwszy zjazd odbył się w Bostonie i po raz pierwszy kupcy, przedsiębiorcy, przemysłowcy i rzemieślnicy znaleźli się razem na własnym mityngu. Trzydzieści stanów przysłało swych przedstawicieli. Liga ta stała się matką wielu drobniejszych stowarzyszeń.

O tym, jak oprócz zbierania funduszków dla Tuskegee i zarządu nad zakładem, jestem absorbowany obowiązkami społecznymi, do których używają mnie coraz częściej, może dać wyobrażenie ustęp gazety, wychodzącej w Buffalo, gdzie, zdając sprawę z mojej mowy na na-

rodowym zgromadzeniu wychowawczym, między innymi mówią:

„Booker T. Washington, pierwszorzędny pedagog świata, przepędził wczorajszy wieczór dość ruchliwie. Zaledwo odetchnął z podróży, poproszono go na bankiet powitalny. Następnie wygłosił mowę w sali Iroquois, którą skończył o ósmej, przyczym przeszło dwustu nauczycieli ze wszystkich stron Stanów Zjednoczonych wyraziło mu cześć swoją. Zaraz potem karetą odwiozła go do Music Hall, gdzie w przeciągu półtorej godziny przemawiał dwa razy, wzruszając pięć tysięcy słuchaczy opowiadaniem o wychowaniu murzynów. Po tych przemowach delegacja murzynów zabrała M-r Washingtona na ucztę, dla uroczystego ugoszczenia go przygotowaną“.

Pomimo zewnętrznych, przejściowych oznak nieprzychylnych, nigdy nie czułem się pełniejszym otuchy co do przyszłości murzynów, jak obecnie.

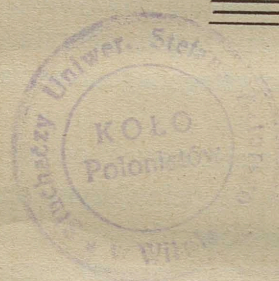
Wielkie prawo ludzkie przetrwa przemijające niesprawiedliwości i doprowadzi wszystko do równowagi. Świat zewnętrzny nie domyśla się walk, toczących się obecnie w obu środowiskach Południa w celu pokonania uprzedzeń rasowych. Walkom tym powinno towarzyszyć spółczucie, pomoc i wyrozumiałość reszty świata.

Ostatnie słowa mej autobiografii nakreśliłem przypadkowo w Richmond (Wirginia), t. j. w tym samym mieście, gdzie przed dwoma dziesiątkami lat noc za nocą spędzałem pod mostkiem chodnikowym.

Jestem gościem w Richmond; przybyłem na zaproszenie mieszkańców, aby wypowiedzieć mowę do ras



obu we wspaniałej sali, po raz pierwszy dostępnej dla murzynów. Municypalność w komplecie przybyła, aby mnie słyszeć, zarówno jak cały skład prawodawczy, Izba Delegatów i Senat. Przed setkami murzynów, setkami białych obywateli wypowiedziałem słowa, zwiastujące nadzieję i radość; z głębi serca dziękowałem wszystkim za udzielenie mi sposobności do takiego powrotu do rodzinnego miasta.



## Spis rozdziałów.

Słowo wstępne.

Przedmowa.

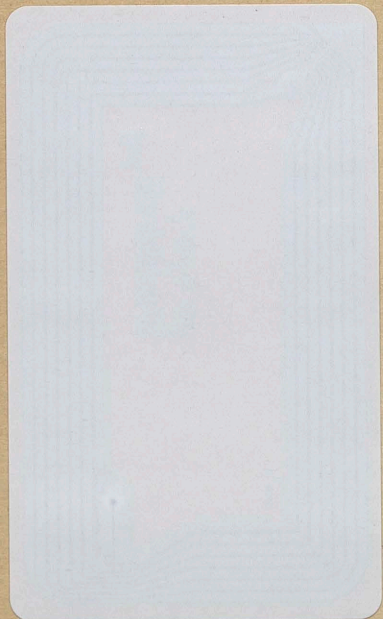
	<i>Str.</i>
Rozdział I. Niewolnik między niewolnikami . . . . .	17
" II. Chłopięce lata . . . . .	29
" III. Walka o naukę . . . . .	40
" IV. Pomaganie drugim . . . . .	55
" V. Okres odrodzenia . . . . .	65
" VI. Czarni i czerwoni . . . . .	70
" VII. Dzieło mego życia. Tuskegee . . . . .	78
" VIII. Lekcje w stajni i kurniku. . . . .	84
" IX. Dni trwogi i bezsenne noce . . . . .	91
" X. Trudniejsze zadanie niż ukreślenie bicia z piasku. . . . .	98
" XI. Chcąc spać na łóżku, należy je sobie zrobić. . . . .	106
" XII. Robimy pieniądze. . . . .	112
" XIII. Dwa tysiące mil dla pięciominutowej mowy . . . . .	120
" XII. Mowa inauguracyjna na wystawie w Atlancie . . . . .	127
" XV. Tajemnicą powodzenia w publicznych przemówieniach . . . . .	138
" XVI. Europa . . . . .	155
" XVII. Ostatnie słowa . . . . .	164





2201





3/11/11



# Księgarnia Naukowa w Warszawie, Książka 44

1039A

## POLECA:

	Rb. k.
Brückner A. Cywilizacja i język . . . . .	—80
„ Starożytna Litwa. . . . .	1.20
„ Różnowiercy Polscy. . . . .	1.80
Heilpern M. O ziemi, słońcu i gwiazdach, kart. 75, oprawa ozdobna . . . . .	1—
Karpowicz i Szycówna. Nasza literatura dla mło- dzieży . . . . .	—60
Key Ellen. Trwonienie sił kobiecych . . . . .	—60
Kramsztyk St. Szkice przyrodnicze. Zbiór I. . . .	1.20
Moszczeńska I. Czego nie wiemy o naszych synach. .	—50
Poradnik dla samouków. Część I. Nauki przyrod- nicze . . . . .	1—
Poradnik dla samouków. Część III. Nauki społecz- ne, ekonomiczne i prawne. . . . .	—80
Poradnik dla samouków. Część IV. Logika i teoria poznania. Filozofja. Pedagogika. Popula- ryzacja wiedzy i samouctwo . . . . .	1.20
Silberstein L. Wykłady zakopiańskie z dziedziny fizyki teoretycznej, z ilustr. . . . .	1.20
Sully J. Psychologja wychowawcza w przekła- dzie Anieli Szycówny (6 zeszytów), . . . . .	3.60
Verworn. M. Przyrodznawstwo i pogląd na świat. .	—30
Witkowska H. Komisja edukacji narodowej. . . .	—40

## Tablice okazów z dziedziny przyrody i przemysłu do nauki poglądowej w szkole i w domu (wyrób krajowy).

Narzędzia rolnicze rb. 4. Głina rb. 2 k. 50, Dąb, Sosna, Mydło,  
Bawełna, Zboża, Garbarstwo, Wełna-Dywany, Igły i szpilki po rb. 2,  
Kokos-Guziki rb. 1.

## Biblioteka społeczna.

	kop.
E. B. Japonja. Kraj i ludzie . . . . .	15
Golińska Z. Spółki rolnicze i handlowe . . . . .	20
Kowalewska Z. Chłopski uniwersytet w Szwecji . .	15
Kozłowski Wł. M. Zarys historii włóścian we Francji .	20
Krakowski Wł. Nowa Zelandja . . . . .	20
L. W. Ziemie polskie pod berłem pruskim . . . . .	20
Ławska H. Szwajcarja i Szwajcarowie . . . . .	20
Witkowska H. Historia ustroju Polski w zarysie . . .	40